

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 27 stycznia 1946 r.

Nr. 3 (31)

TADEUSZ PAPIER

Wielka ofenzywa

(w rocznicę ofensywy radzieckiej na przyczółku sandomierskim)

„Wielka ofenzywa“ daje obraz pierwszego uderzenia sowieckiego, skierowanego z przyczółka sandomierskiego w styczniu 1945 r. Nawiązka i wydarzenia podane w opowiadaniu są autentyczne. Akcja rozgrywa się 50 km za pierwszą linią frontową, w Kazimierzy Wielkiej i Małej, powiatu pinczowskiego. Ten opis wydarzeń, widziany oczami chłopów w jednej ze wsi nadnidziańskich ukazuje jeden odcinek owego historycznego zdarzenia; odcinek takich było tysiące w momencie, gdy potężna armia radziecka wystąpiła do ostatecznej walki.

Nasze autentyczne opowiadanie przedstawia na wąskim terenie jakby skrót ofensywy, która przyniosła nam wyzwolenie.

12 stycznia 1945

Wielka hala fabryczna jest przepełniona pracą i ciepłem. Przy kotłach, miernikach, dyfuzorach i wirówkach pracują napół rozebrani robotnicy; zebrani chłopci z Kazimierzy Wielkiej i Małej, ze Stradic, Wojciechowa, Wymysłowa, Gabułtowa. Jednostajny warkot ciągnika głuży od czasu do czasu nagły grzmot. Wtedy chłopci podnoszą zgięte plecy i w fabryce robi się cisza. Nasrożeni Niemcy z karabinami gotowymi do strzału przechodzą powoli przez halę.



rys. St. Cieloch

Wejście „Karola” grubego Niemca, komisarza, przywraca ludziom energię: Chłopi śpią szybko buraki do kotłów, inżynierowie sprawdzają analizy chemiczne, biały cukier odchodzi z wirówek. „Karol” jak śmierć znika w schodach prowadzących do hali maszyn. Z mroźnego dworu wbiega zdyszany Ryszard — z wieży fabrycznej widać łunę, tak, jakby się Wiślica paliła. Ten szept podawany od ucha do ucha przebiega wszystkie piętra fabryki. — Wiślica się pali — śmieje się całą twarzą Bronek. Stojący obok Niemiec nie rozumie tego śmiechu. Mietek Dyszewski mówi — dziś już po raz ostatni jestem w fabryce, jutro już mnie żadna siła nie zmusi do pracy.

— Żeby nas tylko nie wywieźli — troska się Stach Cwiertnia.

Na dworze zmarznięci chłopci wyładowują z wagonów w dalszym ciągu buraki. Ciemne chmury przesłaniają księżyc, osłonięte od góry żarówki dają nikły blask. Rośnie coraz większa góra wylotków. Od strony Nidy dochodzą przytłumione strzały. Przez Kazimierz przebiega linia żołnierskie wozy, auta osobowe, samochody ciężarowe pełne Ukraińców i Niemców. Przedranny świt odsłania ów nocny niepokój kaźmierzowskiej ulicy. Pod czujnym okiem żandarmerii wchodzi dzienna zmiana do fabryki. Łakami idą szybko rozgrzani chłopci do domów. Słuchaj, Stachu — mówi Mietek do Adamczyka, dzisiaj musimy uważać. Nas nie wywieżą do Niemiec! — Wolę tutaj zginąć, dalej już nie pójdę — odkrzykuje Ryszard, zbieg od frontu. — Co tam się u nas dzieje — dorzuca. — Busko może już wolne, ale kto z moich pozostał przy życiu?

Ostatni dzień

Tego dnia przez Kazimierz Małą, Wojciechów, Kazimierz Wielką przejeżdżają pędem pojedyncze wozy i motocykle niemieckie. Szosa miechowska, jedyna szosa prowadząca na zachód, jest zawałona pojazdami i grupami żołnierzy. Dookoła, bliżej lub dalej rozlegają się głucho detonacje. W Kazimierzy Wielkiej wciąż dymi komin cukrowni. Ludzie są zaskoczeni tą nagłą, a przecież spodziewaną chwilą ostatecznej walki. Zdała na horyzoncie pokazują się trzy samoloty. — Sowieckie, sowieckie — krzyczą w Kazimierzy Małej chłopci. Samoloty zataczają coraz większe koła. Sodoła patrzy na te samoloty i na dym nad fabryką. Usta z trudem wymawiają słowa: — po co ten Józek poszedł do fabryki. Ale samoloty odchodzą spokojnie w kierunku Miechowa. Za chwilę jednak słychać świst: na łaci kimierzowskie pada pocisk. Potem drugi i trzeci. Znad Kazimierzy Wielkiej podnosi się słup dymu i przesłania niebo: to Niemcy podpalają młyn i magazyn żywnościowy. Czarny, gęsty dym wznosi się kłębiąc ku górze, ostateczny sygnał ucieczki i klęski. Pociski padają coraz częściej, ludzie nie wychodzą na dwór. Nad rzeką, padając co chwilę, biegną z Kazimierzy Wielkiej ostatni robotnicy z fabryki. — Uciekliśmy przez mur — powiada matka Józek Sodo — wcześniej nie można było, bo Niemcy pilnowali. Matka ścisną głowę syna — wszyscy wrócili? Józef odpowiada — Kasprzyk nie żyje, pocisk urwał mu obie nogi.

Przed świtem

Ziemia kaźmierzowska jest teraz ziemią niczyją. Ostatnie oddziały niemieckie uśdowiły się za rzeką, koło Wojciechowa i za Kazimierz Małą. Pociski armatnie rozrywają się nad Kazimierz Małą i Wielką. Są to już pociski niemieckie. Z cementarza bije urywanie karabin maszynowy. Na wzgórz pod gruszą widać jakieś postacie. Nie wiadomo kto to jest — Niemcy czy Sowieci? Wielka piwnica szkolna w Kazimierzy Małej mieści w sobie pół wsi. Pod opiekę metrowej grubości murów oddali chłopci swe życie i mienie. Na tobołach siedzą kobiety z dziećmi i starzy chłopci. Mała lampka napełnia piwnicę migotliwym blaskiem. — Całe szczęście — mówi stary Falencki, że Niemcy biją szrapnelami. Tutaj nam nic złego nie zrobią. Co chwilę słychać suchy, przeraźliwy trask rozrywających się pocisków. Wtedy ci, co są bliżej okienka, odsuwają się odruchowo. — Ta noc, to już ostatnia noc niewoli, mówi Dyszewski, kierownik szkoły. — W jakże szczęśliwszej jesteśmy sytuacji, niż ci za Buskiem, Chmielnikiem, Stopnicą. Ilu ludzi Niemcy stamtąd wybrali, ilu zabili, ile rodzin osieroconych. A co tam dzieć się musiało podczas pierwszego natarcia! Tu odczuwamy zaledwie słaby podmuch burzy, która już przechodzi.

Ryszard słucha i patrzy niespokojnie na chłopów ćmiących papierosy — Słuchaj, Ryszardzie, ty się nie martw — mówi Zofia. — Tak źle może u was nie jest, jak my tu sobie wyobrażamy. Natarcie radzieckie musiało być gwałtowne i nagłe skoro w parę dni spowodowało tak wielkie zamieszanie na tak dalekich tyłach. Przecież z Kazimierzy do Buska a właściwie do Strzałkowa jest z 50 kilometrów. Silny i niespodziewany cios nie pozwolił Niemcom wywrzucić ludziom krzywd, musieli pamiętać o sobie...

I to racja — wtrąca stary Wiejacha. — Ty, Ryszard, się nie zaszepiaj. Ofiary były, ofiary jeszcze będą — ale cieszę się! Ta ofensywa przyniesie nam jutro swobodę. I mnie się wydaje, że ta ofensywa będzie już ostatnią ofensywą wojenną.

— Przynajmniej w twoim życiu — zauważa Falencki.

— Nie tylko w moim, ale i w życiu mojego syna i w życiu twojej córki. Pomyśl tylko. Kogo ty nad ranem ujrzysz? kogo? I kogoś widział parę miesięcy temu z karabinem? Widziałeś nasze dzieci, jak urządzali powstanie pińczowskie, widziałeś chłopów. I nad ranem ujrzysz też chłopów. Ze ci chłopci będą ubrani w mundury inne, to tylko potwierdza moją myśl o końcu wojen. Widzisz — brat brata ratuje...

— A może... zobaczymy też żołnierza polskiego — mówi cicho Maria. — Podobno polska dywizja tędy naciera.

Rozmowa cichnie. Szrapnele rwą się nad wsią. Z końca wsi, od strony Wojciechowa słychać gwałtowny ogień karabinów i działek przeciwpancernych. Górą, zdaleka, przytłumiony warkot samolotów. Kobiety zaczynają kolendę: „Bóg się rodzi”. I kolenda cichnie. Ludzie nasłuchują nowych strzałów.

Zwyciestwo

Wśród nocy słychać nagle gwałtowne pukanie do drzwi. — Żeby nie Niemcy, żeby nie Niemcy — szepce cicho Cwiertniowa. Dyszewski otwiera drzwi, z za obłoków zimnego powietrza pokazują się żołnierze radzieccy. Oczy bystro patrzą po ludziach. — Germańców u was nie ma? — pyta jeden po polsku. — Nie, odpowiadają chórem ludzie.

Drzwi są nadal otwarte i zimne, świeże powietrze wypełnia gwałtownie piwnicę. Strzały słychać coraz wyraźniej. Chłopi wstają i patrzą ciekawie na uśmiechniętych żołnierzy.

— No do rana wszystko tu się skończy — nie bójcie się, już po Niemcu! Bezpieczniej jednak dla was będzie pozostać jeszcze tutaj. Potrzebujemy tylko przewodnika. Kto na ochotnika? Pytanie rzucone na oślep, w głąb piwnicy. — My wszyscy ochotnicy — zrywa się stary Wiejacha i odpycha młodszego, rwących się ku wyjściu.

Ta noc przynosi rozwiązanie. Ostatni opór niemiecki złamany. Słabe oddziały,

niedobitki, które dotąd się jeszcze broniły, rozsypane w nieładzie, błakają się po polach i otwierają ogień na siebie. Pala się domy gdzieś w Stradicach. Niedaleko kościoła ciemnieje grupa ludzi. Stamtąd dochodzi jęklący głos: Gott mit uns, Gott mit uns... Oficer sowiecki bada trzęsącego się Niemca. — Wszystko przepadło, wszystko straciliśmy. Ten atak był niespodziewany. Myśleliśmy, że długo będziecie się krwawić pod Stopnicą, zanim przyjdziecie tutaj. Niemiec jest „miejskowy”, opowiada, jak szybko i chaotycznie uciekały z Kazimierzy Wielkiej na Miechów władze, starosta, komisarze, wojsko, Niemcy cywilni i ukraińcy. — Nawet swoich rzeczy nie zdążyli zabrać — dopowiada żałośnie.

— Miechów został wprawdzie zajęty, zanim Herr Landkomissar tam dojechał — wyjaśnia uprzejmie Niemcowi oficer sowiecki.

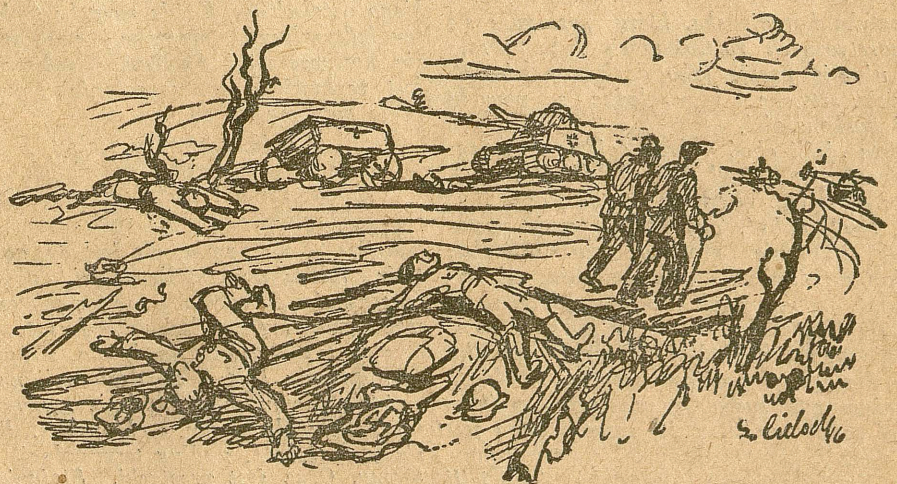
Niebo zwolna szarzeje, powoli odsłaniają się kontury wsi. Przed szkołą i plebanią wychodzą ludzie i nieśmiało spoglądają na rodzący się nowy dzień.

Przysięga wolności

Nad ranem Kazimierza napełnia się nowym wojskiem. Z otaczających wzgórz, wsi bliższych i dalszych spływają czołgi, auta pancerne, samochody, armaty. Słychać mowę rosyjską i polską. „Na zachód, na zachód, na Berlin” głoszą napisy na armatach i czołgach.

Ryszard żegna tych, którzy dali mu schronienie przed wywozem do Niemiec, idzie do domu. Po drodze mijają spalone czołgi i auta niemieckie, powywracane działa, porozrywane i porzucane beładnie trupy niemieckich żołnierzy. Ryszard idzie na Konieczysty, Wiślicę, Busko, wchodzi w niedawny pas frontowy, na teren gminy Szczytniki. Za chwilę znajduje się w domu. Dowiaduje się szczegółów walki. Kilka godzin bezustannego ognia artyleryjskiego, kilka godzin prawdziwej ulewy pocisków wystarczyło, aby zniknęła na zawsze z tej ziemi przemoc, strach, głód i śmierć.

Za chwilę Ryszard wejdzie na ziemię zrytą pociskami, skrwawioną, zaminiowaną, spaloną, na ziemię ludzi osieroconych, których jedynym odłąd dążeniem będzie, aby już nigdy nie powstała żadna wojna na świecie.



rys. St. Cieloch

JAN BOLESŁAW OZÓG

M A T K A

O matko, a ramiona twe jak srebrny słub.
Dwie osłki nad nocą, która odpoczywa.
Ach, jakie sekate, znużone i krzywe
jak konar, chwyci w Swe ręce miłosłerny Bóg.

Wleczny człowieczy ból...
koło nas, we mnie, w tobie... długi żal...
Westchnął dom, wrota wzdychają, — w wiatr się wtul,
otwórz miedzianą sieć.

Stąd jakby widziany przez kromkę placka świat:
dzwoni i ścisła smutek świerszczy — i to wieś.
I to dom ojców i męża, który gdzieś...
Z tamtą... W Ameryce!.. Maryś!..

Nie pytajcie: „pisał?” Jeszcze we mnie jest i nie umiera.
Strząść tylko chusiką rosy w sad,
jak lzy — i wieczór — i tylko który rośnie, który wierzy weń.

1.

W noc jeszcze przed świtem mruczenie żaren.
Śpiż, synu, i nie wiesz, jak daleko
pod dzień jak pod górę kamienistą iść.
Dla ciebie zapalam w piecu, codzień chrust znoszę, barszcz zacieram
i dla ciebie do miasta, do „szkół” ta odrobina masła i mleka.

To nie, tem bledsza już, synu,
a w oczach słupki fiołków nie świecą dawnym żarem.

Jedź i rośnij i ucz się. Bylebyś ty miał chleba,
bylebyś ty nie zginął.
Nasza nędza
nie dla ciebie.

I zawsze za krową, za koniem, u żaren i ze sierpem na dolinie,
i zawsze roboty za dużo, a ręka wiotka jak liść.

Ale jaś się uczę, jaś rośnie na księżda...

Więc nocą przy lampie, gdy śnieg za ścianą i śmiech rudego lisa —
tęskne oczekiwanie.

Na co?... Może list?... Jaś... Czy śpi już, śpi już błogo?...

Ach tu... Coś się stało... Wołanie?

Csi... Cóż tam mróz na szybie napisał?

I czy to dom po nocy płacze? Kąpią lzy na zeszyt podłogi

2.

Matko biedna, matko siroskana, brzozowe włosy twoje siwe śpiewa
wiatr.
I „cenzus” syna po szkołach nie cieszy, choć wszystko ma „dobrze”.
W papier wsiadł jak życie w bruzdy, płach i znój ten błąd orzeł —
taki papirek spod krzyża ciężkich ośmiu lat!

Książki z kufierka chlebem pachniały jeszcze jak wino,
sikorki z zapaski w szeleście niebogi wierzby — wdowy...
Syn wiedzy rzucił Boga, — ostatek konie, ostatek pole i dolina,
na darmo wrzosem srebrzystym zakwitła moja głowa.

Zagasy marzenia, szkaplerze; płomykiem dopala się świeca —
i żal jak te skrzypce od łez wyplakanych.
I bańka mleka ostatnia, na niebie nad ranem.
Komu ja dam?... Szloch. Niżej ku ziemi, nachylone plecy!

Placicie mi, wierne siostry — osłki,
wszyscy mi opuścili, Bóg mi pomóc
nie może. Dalekie, dalekie zorze — boi przenika —
gdzie mąż, gdzie ojciec, gdzie syn, odstępca niewidomy!..

3.

To ja tę piszę szarugę, szemrzącą wickulcie,
wiersze, od których jesteście musi iść.
Przebac mi, matko, twoje znojne dni,
ręce w płomykach mrozu i powiedle liście.

Nie każdy umie „requiem” śpiewać u ołtarza,
są wielkie inne drzewa, rozłożyste cienie
kto inny w naszej kaplicy niech złotą wznosi patenę,
już nie pamiętaj, w wigilię słodkiego ulam opłatka —
żegnaj mię smugą smutnych wierz u wsi,
o moja matko!

4.

I tego wołałem, wołałem —
wszelkie życie!
U tego lasy grały, oj grały...

i w pióropuszu okien trzmiel
i w wrotach drzew
zamieszkały słowiczy trz...

i fiołki oczu bratowych
bolących jak dymy
waszych ognisk domowych...

Strumienie pokłute od młoty
wybrałem i igiel,
rosę — sierolkę w dzwoneczkach jętek.

Zgryzły mię zanurzone w łące
troski Hiobowe,
wykleły lilie wierzące...

Wiatr z siwych oczu dali
wycisnął wielką łzę
Maryi z Magdali.

5.

Jętki lecą, piórka lecą
siwe, czerwone, lipowe:
na rolę i kabza
i wieczór.

A pod twoje smutne oczy
jak się ta ziemia dowlecze?
Najcichsza moja.

Nad latem z łez twych duma wóz,
zmierzch na kolach toczy:
Boże, już
Ty do pluga nas prowadź
i nie opuść!

O miedze wrotczane,
o plugi na klęczkach w oparach ziemi jak
słodkich!

Pełen jest laski bosej stopy
ten wieczór.

A trzmiel tylko grać,
a w ciszy tylko ci poganiać
konie
żału.
W opłotkach
rzewnych wspomnień
zaniósł się twój plac.

Ziemią przywalony dzień bez syna, bez ojca!
Jedyne prawo: plug samotny.

6. Tylko pióro wziąć

Ciągłe, ciągłe wzrok zamglony,
z oczu zapatrzenia toń —
w którekolwiek ciągniesz strony,
chroni się, chroni.

Powiedz, jesteś chmiz, czy morus,
ciągle straszny czarny koń
i cmentarno — leśna woń
i grecki chór.

Ale jest gdzieś dom bielony
i kochana włość,
cisza, potem mrok czerwony —
tylko pióro wziąć, już dość.

ścisnij serce w rękach zimnych:
„kogu!” — Bry! swą gryzie łosć,
u podokni dymnych
gość nasz! gość!

Tylko stąpni przez uwrocie,
powita cię miękki wrzask,
lapa psia na starym płocie,
oczu: tki dziwny blask.

Tylko pióro weź na rękę —
progi krzyczą — jesteście nasz!
Janku drogi, winę zmaż,
skrót swą mękę!

Matrwiś, żalisz się i trapiś —
wspomnę i przebaczę ci,
jeszcze miłość w ogniu tli.
tylko pióro weź i napisz!

Woła czarodziejski dzbanek,
obcuje wiele mi —
Janek, Janek,
napisz, ach napisz!

ANNA KAMIENSKA

Głosy pisarzy

W sprawie poezji

(w związku z artykułem J. Przybosia o pisarstwie ludowym)

„W sprawie pisarstwa ludowego” wypowiedział się Julian Przybóś w artykule pod tym tytułem w numerze 55 „Odrodzenia”.

Postawę „Wsi” w stosunku do prozy przeciwstawił mu J. A. Król w „Gawędzie wigilijnej pisarza”. Gromadzenie i rozszerzanie prozy materialowej typu „Pamiętników chłopów” zbacza od celu sformułowanego w zdaniu: „podnieść kulturę ludową do kultury narodowej”.

Poniższa wypowiedź w sprawie poezji rozumie inaczej, niż Przybóś potrzebę literatury ludowej, ocenę i funkcję poezji w jej ramach.

Poetyka horacjańska, którą posługuje się w teoretycznych rozważaniach Julian Przybóś ujmuje poezję jako doskonałe ukształtowanie, sztywne i bezwzględne z powodu swej doskonałości.

Poeta „jeśli choć o krok zejdzie ze szczytu, znaczy, że stoczył się w dół”. (Horacy). Nie można być miernym poetą. Można być nim, lub nie być. Tak kategorycznie postawione założenie prowadzi do wniosku: „chłop współczesny, poza zanikającymi wyjątkami anonimowych układaczy śpiewek w rodzaju Stopczyka, w poezji wypowiedzieć się nie potrafi”. Rodzaj Stopczyka zaś dla tego dosięga poetycznego szczytu, że dzięki prymitywizmowi swego przeżywania trafia u jakiegoś sedno poezji, w jej zasadę, którą jest odczuwanie „rzeczy doznanej wszechstronnie jako kres i zarazem początek”. Tak jeśli poeta ma przed sobą tylko dwilemat: być

albo nie być — bez żadnych stanowisk środkowych, to BYĆ znaczy — osiąść szczyt estetycznej wartości i łaskę doznawania poezji samej w sobie, NIE BYĆ zaś jest godną litości, daremną wspinaczką niedoświadczenia.

Ogólnieść tych definicji zalicza je do metafizyki, wyklucza z poetyki pojętej jako nauka o języku poetyckim, tworze żywym, upieczonym w język społeczny i kulturalnie aktualny.

W świątecznym numerze „Tygodnik Powszechny” drukuje kolumnę wierszy zmarłego młodo Krzysztofa Baczyńskiego. Jest to typowy przedstawiciel młodzieży inteligentnej, poezji inteligentnej w znaczeniu przeciwstawionym pisarstwu ludowemu, jakiego oczekujemy. Każda zurotka tych wierszy kulturalnych poetycko, posługujących się nowoczesnymi środkami stylistycznymi jest pozbawiona enoty realności, najprostszego poczucia rzeczy.

„O mój ty smutku cichy,
smutku gwiazdek małych
nazywałem, szukałem,
brałem ciebie do ręki”.

Nie jest to zła poezja, ale jest to aniołowy twór młodzieży inteligentnej, objaw jej sprzeczności kulturalnej ze spodziewaną i wymaganą kulturą ludową. Jest to idealistyczny typ stosunku do świata, wrogi sformułowanemu kiedyś w deklaracji na I-ym zjeździe wiciowym w Lublinie typowi kultury racjonalistycznej, chłopskiej. Baczyński jest głęboki, według terminologii z jego strony, Oza jest prostaki, Stefania Rudnicka jest prymitywna. To prawda. A jed-

nak uzasadnienie nowych wytycznych poezji ludowej przyniesie nam przyszłość, gdy inteligencja zachowuje jedynie poziom estetyczny, a rewolucyjna umie być tylko w przewidywaniu konwenansu formalnego, wyzwała się tylko indywidualnie przez oryginalność środków wyrazu.

Jeśli pisarstwo ludowe ma być językiem zawodowym klasy chłopskiej, należałoby rozpedzić na wiatry Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Pol., — pisarzy, którzy „tyle tylko mają wspólnego z chłopem, że z chłopów pochodzą”. (Przybóś).

Lecz pisarstwo ludowe nie jest fazą w dążeniu do estetycznego szczytu. Jest POSTULATEM sensownej, realistycznej kultury narodowej.

Jeśli nie wierzymy, jak Przybóś w „dalszy ciąg”, „rozwoj” poezji ludowej, bo uczona zatrąciwszy urok prymitywu przestaje być poezją — chcemy, aby chłopscy pisarze nam, poetom wątpliwym w sens naszej sztuki poszukującym nowych zasad, dostarczyli bodźców świeżości, domagamy się surowców i półfabrykatów, z których może w skomplikowanych aparatach techniki poetyckiej innych niechłopskich twórców wywarzą się dzieła.

Młodzież poetycka typu Baczyńskiego zdolała zdobyć pewien styl indywidualny, lecz nie nadążyła za „postępem społecznym poezji”, bo ten jest związkiem indywidualnego języka z cywilizacyjnym językiem epoki. Poprzez ten związek poezja schodzi ze szczytu piedestału i staje się użytkową. Przestaje być ważne, jaki uzyskuje poziom estetyczny — krytyka bada jej funkcjonujący aparat: poznawczy i opisowy i odnosi go do rzeczywistości.

Jest tak, jakby uważne śledzenie obrazu świata, zmarszczek jego i fałd należało do zadań poznawczych poezji, jakby treścią tej roboty było wykrywanie „tajemnych” związków między rzeczami.

W poemacie Wergiliusza o rolnictwie „zabłysz plug otarty przez glebę”. Zabłysz plug — oznacza, że rolnik wyszedł z plugiem i zaczął wiosenną orkę. Błysz lemosza nie jest ważniejszy od samego orania, lecz oznacza on jeszcze całą wagę pracy. Oto poezja w związku między iskrą światła na żelazie, a ludzką funkcją cywilizacyjną.

Jednym z przejawów racjonalizmu w sztuce ludowej jest rozmyślnie psucie iluzji, podkreślanie sztuczności układu, konstrukcji, ornamentu. Widoczne to w muzyce, gdzie czasem zapamiętałe zawodzenie przerywa nagły i skoczny motyw, utracający nastrój poprzedni, w sztuce plastycznej tak pełnej rytmu, rysującej piersi świętków pasywnych w symetryczne ornamenty żeber, w tekstach pieśni z ich stroficznością, refrenami, powtórzonymi podkreślającymi, że to „sztuka”, robota, dzieło ludzkie, coś antynaturalnego. Ta sztywność ma dla nas urok, ale pochodzi ona z niedoświadczenia i niedoskonałości narzędzi. Układacz piosenki i snycerz wiejski ubrew temu, co pisze Julian Przybóś, tworzą tyle, ile muszą, ile umieją. Naturalność i tak zwana prostota wcale nie należą do cech prymitywnej sztuki ludowej. Ale nie zawsze jest to wynik niedoskonałości technicznej, czasem jest to efekt zamierzony, płynący z przeświadczenia o koniecznej regularności sztuki, ze świadomości rygoru morderczego, ładu.

Tak więc dla poezji ludowej cechami typowymi są: własna konwencja, retoryczność i tak przez Przybosia potępiana antynaturalna ozdobność.

I te takie szlachetne tendencje kultura ludowa może i powinna „podnieść do narodowej”. Ale dotychczas jest to tylko cecha zapóźnienia, niedoskonałości, nierozwoju. I próbować ją zatrzymać — to znaczy hamować siłę, która szuka dróg racjonalnego, nowoczesnego, koniecznego postępu.

TADEUSZ BYRSKI

„Szyfowe prace...”

czyli — jak to było z Instytutem Artystycznym w Kazimierzu

W sierpniu i we wrześniu w wielu pismach pojawiło się ogłoszenie o „Instytucie Artystycznym”, który rozpoczyna naukę w Kazimierzu nad Wisłą. Kurs, na poziomie licealnym, trwa dwa lata; Instytut przygotowuje przyszłych działaczy, instruktorów i reżyserów teatru ludowego założyciel szkoły, T. Byrski, i jego żona, ludzie sceny, pedagogowie, społecznicy, planowali tę placówkę kształceniową już przed wojną, przygotowali jej plan pracy, kosztorys, opracowali system nauczania. Udało się wreszcie, po wojnie, z pomocą Ministerstwa Kultury, założyć INSTYTUT. I oto, po pięciu miesiącach, jak wygląda rezultat w oświetleniu założyciela i kierownika...

MIEJSCOWOŚĆ, W KTÓREJ GORYCZNIKA.

„Kiedy jestem w Kazimierzu, nie szukam goryczy”; chciałoby się sparafrazować powiedzonko o Wilnie. Nie szukamy goryczy. Wisła ma barwę jedyną i wyjątkową; niebo wygrywa chmurkami bogate opowieści o gonitwach, to znów zastęga w bezruchu barokowych ornamentów, jakby z kościoła św. Bartłomieja. Zbocza gór grały na jesieni kolorami żółtymi, tak drobiazgowo różnymi, że trudno byłoby ich szukać w paletcie współczesnego malarza. To nastroja kontemplacyjnie. Dlaczego tu jestem? Skąd naraz w Kazimierzu, skoro życie idzie już normalnym torem? Czasy „siłaczek” Żeromskiego chyba nie wrócić? Byłby to dowód, że styl życia zmienił, to nie znaczy stracił niepodległość, a potem ją odzyskać, to nie znaczy parę milionów zabitych, a inne miliony maltretowane obcym butem i pałką. Bo okazuje się, że Żeromski — artysta zestarzał się, stał się nam odległy, a Żeromski projektodawca społecznego budowania życia, jest wymowny i wyzywający, może bardziej niż kiedyś.

PRAWDA O ODBUDOWIE KULTURY.

Jesteśmy zrujnowani jako społeczność. Zbytecznie analizować tę sprawę. Trzeba się odbudowywać. Ale to trudniejsze; tutaj BOS-y nie pomogą. Bo trzeba sobie zdać sprawę, co zrobiła wojna, okupacja, bieda, a co leży oddawna w naszym charakterze, co można byłoby właśnie teraz poprawić. Kiedy przeglądam prace specjalne z dziedziny urbanistyki, uderza mnie akcent dziwnej radości, że Warszawa jest tak zniszczona. Każdy z piszących na ten temat roni łezkę, dosyć lakoniczną po tamtej Warszawie i zabiera się z żywością do projektowania nowej. Jak dobrze, że to zniszczone; przecież strasznie przeszkadzało, a tamto znów psuło powietrze, a ta ulica, jak na główną magistralę była grubo za wąską; teraz się robi jak należy...

Może i nam, pracującym w dziedzinie kultury artystycznej wypada tak się... ucieńczyć? Od czasu, gdy zamieszkałem w Wilnie i przesiedziłem tam osiem lat, stałem się zwolennikiem rozszerzania granic Polski poza Otwock i Milanówek. Starałem się przekonać wielbicieli zamkniętego życia wielkomiejskiego, że lekceważenie zapasów energii ludzkiej, jakie mieszczą się na wsi, w małych miastach i miasteczkach, może doprowadzić do katastrofy.

DLACZEGO WIĘC PROJEKTOWALIŚMY... KAZIMIERZ?

Zagadnienie kultury teatralnej staje na czele zagadnień tego typu. Pisano już na ten temat wiele na łamach tego pisma. Projekty stworzenia solidnie przygotowanych ludzi, którzyby czuwal nad życiem artystycznym, a teatralnym w szczególności, na prowincji, spotykały się przed wojną z oceną nieprzychylną. Nie, fałszuje fakty! — z entuzjazmem — ale... nie do zrealizowania, w hierarchii potrzeb państwowych — kolejka długa. Szkolenie solidne — musi być ciągłe. Tymczasem, robimy kursy sześciotygodniowe, 3-miesięczne — ot, to tymczasem musi wystarczyć. Schowaliśmy projekt do biurka. Podczas wojny nagabywano nas o niego raz po raz. Było nawet sporo konferencji i narad. Ustalono budżety i nieomal kolor mebli, żeby w momencie odpowiednim — nie, podjąć tej sprawy.

A myśmy się „ucieszyli”, że wojna zdestabilizowała życie teatralne. To żeśmy wszyscy, którzy mamy jakieś poczucie uczciwości, trzymali się zdaleka od teatrów za Niemców, to nam dawało teraz do ręki, zdawało się, świeży argument — zaczęliśmy pracę od podstaw. Odrzucałem opinie zaskoczonych opinii faktem dokonany, że prowincja ma równe prawa. Niezawodnie powołane będą do życia placówki teatralne o mocnych podstawach artystycznych; z drugiej strony weźmiemy się do szkolenia instruktorów, którzy potem pójdą

do teren, będą przygotowywać krytyczną i zdrowo myślącą widowie teatralną i świadome artystycznych potrzeb środowisko.

I stąd Kazimierz nad Wisłą, stąd „radość”, że tyle do odbudowania, stąd aktualność żeromowszczyzny, a nawet pozytywistycznej „pracy od podstaw”.

„ROMANTYCY”.

Ale... jak to mówił jeden z oficerów w podchorążówce artylerii do podchorążego, który zleciał z konia: „panie R. — pan jest też romantyki”. — Byliśmy romantykami! Łatwiej zwać domy warszawskie, spalić całe dzielnice, niż zniszczyć przyzwyczajenia. — Łatwiej zmienić ustrój w państwie, dokonać reformy rolnej, niż oduczyć szabloności, tandetnego myślenia o sztuce.

Jasne jest, że życie na prowincji, szczególnie prowincji odległej, oddalonej od stacji kolejowej, nie należy do łatwych. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Np. władze bezpieczeństwa w Kazimierzu, niezupełnie odpowiednie, nie tylko, że nie bronią przed ekscesami łobuzerii, ale krzywdzą spokojnych i pozytywnie pracujących obywateli. Z drugiej strony — brudne odpryski, wczorajszego życia podziemnego wykorzystując nalepki, uprawiają zwykły bandytyzm. A naokoło społeczeństwo w niemałej części złożone z szabrowników i wszelkiego rodzaju tałatajstwa; w najlepszym wypadku doskonała bierność.

Trzeba ten przekładaniec ruszyć, poprawić, dobrać się do wnętrza i dobrze potrząsnąć. Jakiego to trzeba siły, żeby temu nie ulec, żeby się nie zniechęcić...

DLACZEGO KURS DWULETNI?

Jesteśmy za biedni na to, żebyśmy sobie mogli pozwolić na fastygi. Nas nie stać na szkolenie „tymczasowe”. Przecież musi być różnica między prowadzeniem samochodu, a formowaniem życia kulturalnego! Stąd idea szkoły instruktorów z kursem 2-letnim, na poziomie licealnym. Szkoły prowadzonej internatowo. Szkoły prowadzonej właśnie zdaleka od wielkich środowisk miejskich, w trudnych warunkach komunikacyjnych i w środowisku też nie najłatwiejszym. A zdawało się właśnie, że w tym Kazimierzu, tak pięknym, że aż czasami banalnym, gdzie wszelka gorycz odpaść powinna od człowieka, znajdziemy najszybszy oddźwięk.

A TERAZ: JAK WYGLĄDA PRAKTYKA?

Przewidywaliliśmy wiele trudności, liczyliśmy się z przeszkodami materialnymi, ale nie pomyśleliśmy o głowie, że nie będzie uczniów.

Ani jedna instytucja w Polsce nie skierowała do nas ucznia. Pomimo, że warunki ustaliliśmy bardzo przystępne, niższe kosztów własnych (900 zł. miesięcznie za wszystko). Rozeszliśmy około 200 komunikatów bardzo obszernych do Instytucji, Redakcji, Stowarzyszeń, Urzędów, prawie każdy z listem prywatnym do kogoś z zaprzyjaźnionych ludzi. Przecież przyjaciele zapewniali nas, że na taką instytucję po prostu czekają. W przeciwnym razie, nie wiem czy zdecydowalibyśmy się jechać na to odludzie i cywilizacyjne i kulturalne. Żadnego echa. Nawet listu. Nic. Cisza. Lubelszczyzna także milczy jak zaklęta.

Brak uczniów (przyjechało tylko dwoje na podstawie komunikatu radiowego) stawia naszą szkołę w dziwnym świetle. Co oni tu robią? I stąd widocznie zaczęła się na nas nagonka; nagonka ta idzie, jak to na prowincji, pocztą pantoflową.

Pomimo, że absolutnie nie uprawiamy żadnej propagandy politycznej ze wszystkie nasze wysiłki stawiamy na płaszczyźnie przede wszystkim polskiej, jakieś elementy judą przeciw nam. A to że Żydz, że propaganda, ba nawet — „resort” (!?). Nie czekając na zwiększenie się liczby uczniów, zorganizowaliśmy koło miejscowej młodzieży. Zrobiliśmy uroczysty Apel Poległych, wciągając w to całe miasto. Wypadło wszystko okazało, pomimo, że bardzo bano się represji — bo już dwukrotnie w lecie, podczas uroczystości zorganizowanych na polecenie władz (np. Święto Morza) przyjechał posterunek milicji i poza bierał masę ludzi. Tak tu ludzie są ściśnięci pomiędzy nieodpowiedzialne władze bezpieczeństwa i nieodpowiedzialne elementy quasi-patriotyczne. Sytuacja naprawdę tragiczna.

No, ale uroczystość, o której piszę, odbyła się bez przeszkód. Potem urządziliśmy

w naszym lokalu wieczór literacki 11-go listopada. Też było tłumnie, gwarno, wszyscy bardzo dziękowali.

Ale cóż? Zaczynają bruzdzić, przeszkadzać, nie spodobał im się uczeń, który przyjechał, dlatego, że brunet t.p. Zaczęli odciągać młodzież, grozić wybić szyby i t.p.

Trzeba było robotę przerwać. Kandydat na słuchacza (drugi) wyjechał, bo się bał, że go spotka jakaś grubsza nieprzyjemność. Wróciliśmy więc do cyfry z poprzedniego miesiąca — t.j. — do jednej uczennicy; to b. przyjemny typ — energiczna, dzielna, młoda dziewczyna, która oświadczyła, że dopóki my wytrwamy, to i ona wytrwa. No i trwamy. Z tą jedną uczennicą rozpoczynamy oficjalnie rok szkolny, o ile nie zajdą jakieś przeszkody. Bośmy przeżyli już dwa napady i bardzo boję się o dzieci, że to odbije się na ich nerwach. A przecież mamy już za sobą 5 lat Warszawy.

Tak się przedstawia Okop Św. Trójcy teatralny nad Wisłą. Pustynia zupełna. Jeżeli pójdzie tak dalej — nie będzie się po co schylić. Trzeba by ten teren otoczyć opieką, dać jakieś sensowne władze bezpieczeństwa, które wytepią bandytyzm. Więcej uwagi Ministerstwa. Odbudować. Dawać na prawdę dobre warunki. Dotychczas np. jesteśmy bez instrumentu. A na przydział, tośmy dostali 100 pudełek zapalek i 10 kg. bielidla. Tragifarsa!

TO, CO SIĘ MÓWI I TO CO SIĘ ROBI!

Dlaczego u nas tyle się mówi na pewne tematy, a jak przyjdzie co do czego, to mar twa cisza. Dlaczego tyle słów wygadanych i usłyszanych mamy poza sobą, żeby się dowiedzieć w końcu, że donkiszoteria. Nie chcesz być w centrum, jesteś uważany za wariata, albo za specjalnego kombinatora, a w oczach prowincjonalistów za wybitnie podejrzanego. A tymczasem żadna instytucja, żadna organizacja uczniów nie skierowała. Pomimo, że nawet teraz mam możliwość i w Warszawie i w Łodzi wiele nasłuchać się lamentów na powód braku odpowiednio wyszkolonych instruktorów. Jest w tym wszystkim jakiś brak przytomności umysłu, albo co gorsza zdanie się na los: jakoś to będzie.

„DLA NAS MOŻECIE PAŃSTWO WYJECHAĆ”.

Więc najpierw bandziory okoliczne próbują ograbić. Potem znów coś w rodzaju rekwiizycji przez t. zw. „lasowych”; ale to dzisiaj tytuł „honoris causae”, bo w rzeczy wistej ci leśni na ogół wygodnie śpią pod pierzyną. Kiedy mi zabierano maszynę do pisania, jakoby dla jakiegoś „sztabu” (mam pewne podejrzenie, że przetworzono ją po prostu na bimber!) żona moja powiedziała do mnie: wiesz, chyba trzeba będzie mimo wszystko stąd wyjechać. Nasz „gość” — powiedział: „dla nas możecie państwo wyjechać choćby dzisiaj — nam wszystko jedno”. Ze im jest wszystko jedno, to smutne, ale że tym innym, którym sprawa człowieka na prowincji powinna być droga, też jest wszystko jedno — to groźne. I znów słyszymy od wysokiego urzędnika, jak za dawnych przedwzręśniowych lat — „no moi Państwo, w drabinie potrzeb, rozumiecie, nie można zbyt dużo uwagi poświęcić sprawom kultury na głuchej prowincji”. Chcemy przerwać tę ciszę mimo wszystko! Jakim echem rozeszła się po kraju katastrofa przy budowie mostu Poniatowskiego! Trzeba umieć słuchać! Takie olbrzymie przesła wały się raz po raz, tylko, że trudniej je dostrzec, a przynajmniej zwa lone żelastwem sami nie zdają sobie sprawy z ran, które odnoszą.

JEDNAK : NIGDY „KURS”

TYLKO : SZKOŁA!

Wszelkiego rodzaju przyspieszone kursy są dobre tam, gdzie jest zadanie włożenia do głowy pewnej określonej sumy wiedzy. Ale nie można w ciągu paru tygodni wychować człowieka. Kto mówi, że to możliwe — kłamie!

Rzecz prosta — jeżeli ideałem naszego zbiorowego życia artystycznego — mają być jedynie dożynki w Spale, to wszystko w porządku. Ale przecież gdy się czyta gazety, to można wyciągnąć wniosek, że tam to się skończyło! Ale nie ze wszystkim, Panowie! Nie ze wszystkim!

Dyskusja — „kto jest chłopem”

„Złoty piasek jego rzeki”

Oto fragment z listu, jaki otrzymaliśmy od młodej dziennikarki, inżyniera-rolnika: „Wiesz” ma swój ustalony charakter, jednolity styl i formę i wydaje mi się, że gdybym ja weszła ze swoimi rzeczami do Was, czułabym się jak chłop w butach z cholewami we francuskim salonie.

Kiedyś mi koleżanka, na widok mojej cudownej, nowoczesnej łazienki, z której byłam niezmiernie dumna, powiedziała: „Mój Boże, w takiej rymnie musi się człowiek kapać! Jednak rzeki wsi, złotego piasku i zielonej trawy, na której można się do słońca wytarzać, nie zastąpi”. Otóż — przepraszam — ale Wasza „Wiesz” to właśnie taka nowoczesna wanna. Chłop może ją będzie podziwiał, ale to nie „Złoty piasek jego rzeki”.

Gdyby było dużo pism tego rodzaju chłopskich, moglibyście sobie na taką „Wiesz” pozwolić. Według mnie, przez utrzymanie salo nowego poziomu intelektualistów wiejskich, robicie krzywdę chłopom. Co chłop może wyrieść po przeczytaniu Waszego pisma? Chyba, że specjalnie chcecie je wydawać tylko dla tych, którzy już zapomnieli o rzecze i kąpią się tylko w wannach? A wtedy, tymbardziej twierdząc, że jest to z krzywdą dla chłopów.

W tym znaczeniu, w jakim „nie zastąpi złotego piasku rzeki” — nie również — koleżanko — nie zastąpi wanny, czy też łazienki.

Dwa różne układy, dwa różne przeżycia. — Ale gdyby tak u nas na wsi chciały być wszędzie pod ręką rzeki ze złotym piaskiem oraz nieschodzące z nieba lipcowe słońce, Tybys — Koleżanko — nie potrzebowała skończyć inżynierem.

Ze jest inaczej, to powiedz — inżynierze — przydałaby się w każdej wsi łazienka! Prawda? Ale na to trzeba — powiedz — zamożności! A ta skąd przyjdzie, jeśli nie z wydajniejszej pracy, a ta skąd, jeśli nie z przekonania chłopów do wyższej rolniczej i poza - rolniczej wiedzy, do nowych narzędzi pracy rolnej, nowych urządzeń technicznych, nowych form organizacji i samopomocy?

A jak sobie wyobrażasz — Inżynierze? Jeśli Ty lat kilkanaście uczyla się, żeby w rezultacie chłopu zalecać „rzekę z piaskiem”, to ile lat on potrzebuje, aby dojść do nieodwrotnej łazienki?

Wiem, w jakiej Ty piszesz gazecie. Tam dobrze chcą, ale myślą się w metodach, uważając, że wystarczy nalepić afisz, zwołać wiec, zorganizować pochód, aby zmienić zasadniczo postawę człowieka.

Nasze metody są inne. Pisałem już kiedyś, dla kogo jest „Wiesz” — nie dla wszystkich chłopów, bo nawet Twoja gazeta popularna — dociera do 30 tysięcy, a z 20 milionów chłopów czytuje wogóle... 300 — 500 tysięcy. To, co Ty mogła zdobyć w ciągu 12 lat regularnej nauki i studiów może i chłop w tym czasie zdobędzie, ale nie inaczej, jak kiedy my będziemy służyć „Wsi” rosnącej inteligencji chłopskiej, ona spopularyzuje nasze wspólne myśli, projekty i bodźce w szerszym kręgu mniej zainteresowanych i oświeconych, tamci skończy w jeszcze szerszym „aż ideał — jak pisał poeta — sięgnie bruku”. Co nie znaczy, aby to zadanie przez nas wyłącznie było i miało być spełnione. Równocześnie na wszystkich poziomach i we wszystkich zakresach wiesz, jeśli nie jest, to powinna być wiedza i kultura zaspakajana. To też różne pisma do różnych kręgów apelują. Działają ponadto szkoły, związki, styczności w pracy, handlu itd.

My służyliśmy inteligencji chłopskiej, która jest i wzrasta i nie powinna od wsi odpaść, bo jest jej ramieniem, które dźwignie ją w historię nowych czasów.

Co bym Ci powiedział na zakończenie? Ot, mam kłopot. Nie jestem inżynierem-rolnikiem, a czytam w tym „Dziś i jutro” trudny a ważny artykuł p. t. „Reforma szkolna a wieś”. Mówi on o projekcie rolniczego kształcenia. Czytam tu: „potrzeba gruntownego pogłębienia poziomu, do czego dążyć należy obostrzeniem i poszerzeniem czasu kresu nauczania, a nie skracaniem i uogólnianiem”. Artykuł ten przeraża mnie, bo bije na alarm — brak jest fachowego nauczycielstwa, a równocześnie stwierdza się masową ucieczkę od stanu nauczycielskiego!!!

Cóż Ty na to, inżynierze - rolniku? Przeczytaj ten artykuł i napisz do nas, to będzie akurat dla tych kandydatów - uciekinierów. Ich właśnie przekonaj, nie „chłopa”. Bo to ich ucieczka dopiero chłopu zaszkodzi, nie on sam sobie. A kiedy napiszesz przekonujący — to chyba spotkamy się również i na tym samym poziomie intelektualistów wiejskich. Ale przed tym proszę Cię — wyjdź z salonów, gdzie wiszą landszafty, na których „złoty piasek jego rzeki”.

J. A. KRÓL

W następnym numerze:

POWRÓT LEONA SCHILLERA.

Znakomity polski inscenizator wypowiada się o zadaniach teatru polskiego, o kształceniu reżyserów i planach sceny ludowej.

STANISŁAW TELEGA

W Y P R A W A

Wyjątek z powieści p. t. „Ósma rano”

Nad ranem obudził ich chłód i pierwsza jasność, bielejącego w mgłach i rosie, świtu. Głodni i obolali z niewygodnego leżenia zwlekali się ze swoich miejsc i ruszyli naprzód, kierując się na północ, w stronę Zaczernia. Po drodze napotkali na mały stawek, gdzie umyli się i wykąpalili. Wkrótce las się ku ich zdumieniu skończył i z daleka ujrzeli chaty dźwigające się z siwych mgieł.

— No kumie Kuciela... — zażartował — wieś jest, kamienie przygotowane, brak tylko dwóch idiotów do ukamieniowania, więc chodźmy...

— Nie bój się, jakós to będzie... zapytamy się o mleko, chleb, trza najpierw coś zjeść... a potem ostrożnie trza się wywieźć, gdzie jest głównie kwatery rewolucyjno...

— Idź, ty głupi! Żeby nas znowu wzięli za szpiegów! Ani się waż pytać!... O kwatery się będzie pytał... walimy prosto do Zaczernia i skończona sprawa...

Na skraju lasu zatrzymali się jeszcze, aż słońce wstanie wyżej i we wsi zacznie się jakiś ruch. Usiedli więc i natychmiast ucieli sobie porządną drzemkę. Obudzili się, kiedy już słońce zaczęło dobrze przegrzewać, mgły topniały, a las napędzał się szumem, swiergotem ptaków. We wsi panował już ruch, więc wstali. Byli roześpani, piekielnie głodni, z niewyraźnym więc uczuciem, wyobrażając sobie z góry najgorsze rzeczy, skiszowali się w stronę chaty. We wsi, wbrew ich oczekiwaniu, panował zupełny spokój, nie widać było najmniejszego śladu jakichś zaburzeń rewolucyjnych. Chłopi pracowali spokojnie na polu, pastusi gonili bydło, baby karmiły kury, świnię, robiły masło lub oprzątały obory.

Wstąpili do najbliższej chaty, prosząc o mleko i rozglądając się ciekawie po izbie czy nie zobaczą czegoś rewolucyjnego. „Rewolucyjnym” jednak był tylko brud oraz liczba dzieci, jedzących ziemniaki ze wspólnej miski. Zmizerowana, o pocziwej twarzy gospodyni podała im w odświeżoną garnuszkę, wydobył z kredensu, mleko i na malowanym talerzu cztery potężne pajdy chleba, których nie zdążyli by zjeść nawet do wieczora.

— A skąd wyście?... — zapytała następnie, podparłszy się o ścianę i przyglądała się im z ciekawością, choć życzliwie.

— A tak ta... — mruknął niewyraźnie Wojtek, zezując podejrzliwie w jej stronę.

— No, a dokąd Bóg prowadzi?... —

— Prowadzi?... — a jużi prowadzi... ano tak przed siebie... wicie gospośiu, tak przed siebie, jak Bóg do...

— To wy bezdomne?... —

Jerzy nie wytrzymał, roześmiał się.

— Idziemy do Zaczernia, gospośiu... do jednego kolegi... My jesteśmy studentami...

— Aha... a jo tyż zaroz zmiarkowała, żeście miastowe i kształcone... Pan mniij... — wskazała na Wojtkę — ale ten pan, to widać od razu... — uśmiechnęła się do Jerzego.

— Jo jezdem kształcony, tyłom jest syn chłopski; z gnoju z przeproszeniem wylotem... — Wojtek zachłystnął się mlekiem, aż mu lzy w oczach stanęły.

— To tyż to zaroz widać... ale jageś kształcony, to czego mówisz po wsiosku... — zwróciła się już na „ty” do Wojtki.

— Loczego?... bom jest chłop... zaczerniański chłop! — Wojtek aż powstał, dumny i ważny...

— Eee... kiedy to brzydko mówić po wsiosku... nowicie te młodsze... bo stare, to ta... a z młodszych, to każdy chciałby po pańsku, po miastowemu. Taki Jantek od Mirzów... hehe! to ci kawali! jak sie na niedziele wyjarzy, wypucuje, jak zacznie brząkać po miastowemu... „w ogóle” go nazywają, że tak ciągle mówi tylko „w ogóle i w ogóle”...

Jerzy nie wytrzymał, roześmiał się znów widząc niewyrażną minę Wojtki, którego wsioskość tak brała w łeb.

— Gospośiu... — zwrócił się grzecznie, chcąc pokryć swoją wesołość — a jak tu u was?... no, spokojnie?... —

— Pewnie, że spokojnie... A niby loczego miałoby być niespokojnie?

— No przecież chłopci robią jakieś strajki... furmanek nie przepuszczają do miasta, biją się z policją... słyszeliście chyba?... —

— Słyszec tom ta słyszała... o tak ta... jak poniektórzy z chłopów ni ma co robić, abo mo mało roboty w polu, to mu sie tam zachciwo awantur i polityki... ale u nos, chwolić Boga wieś porządno, ludzie majom po tyła roboty, gdzie się tam komu zachciwo awantur... O zimioki trza okopywać, cebule sadzić, kumie oporządzić...

— Więc od was nikt nie poszedł na pomoc zaczerniańskim?... — zdziwił się.

Gospodyni skrzywiła się niechętnie.

— Pójsz to ta posłi, ale zodya z porządnymi gospodarzami... o takie ta, wicie, dziady, nieroby... Franek od Waltośki i Walców zięć, Szulc, ten co to sie z Zośką Opołconką ożenił, tyż dziadowica przekłeta... o, takie ta legawce, dziady, same nie nie majom, to by ta letko chciały drugim odebrać...

Wojtek nie wytrzymał. Dopił pośpiesznie resztę mleka i wystąpiwszy na środek izby, począł ku ucieście wyrostków, siedzących przy wspólnej misce, grzmieć rewolucyjnie o wielkości ruchu chłopskiego, o odrodzenie wsi. Gospodyni słuchała chwilę, kiwając życzliwie głową, potem nie tracąc czasu, zaczęła się krzątać przy kuchni, nastawiać ziemniaki, wodę, w końcu westchnęła i powiedziawszy — „Ono by ta było, było, ino ze nie do rady” — wyszła.

Jerzy roześmiał się.

— Oj, kumie rewolucjonisto! Ale ci baba powiedziała... jak się w porządnej wsi cebule sadzi, to trudno robić rewolucję!... mówię ci, że my obaj to tak jak ten Franek od Waltośki i Walców zięć, Szulc, dziady i nieroby... zamiast uczyć się i przygotowywać do matury, to nam się zachciało rewolucji...

Wojtek stał straszliwie markotny, zły i żał potężną pajdę chleba, którą im uprzejma gospodyni dała na śniadanie.

Akurat weszła z powrotem, więc Jerzy wstał i wyjął portmonetkę.

— Ile się należy, gospośiu?... Dwa garnuszki mleka i chleb...

— Ee, co tam takie żdziebko mlika!... Nie, nic się nie należy... Sumienie mi nie pozwoli... Krowy sie i tak teraz dobrze doją, jak ta z wiosną... mlika, chwala Bogu dosyć... idźcie z Bogiem...

— To może nam pokażecie drogę do Zaczernia...

— To jeszcze kawał drogi do Zaczernia... o, półdziecie howok, gdzie te pola... Wyszła z nimi na podwórze i szczegółowo objaśniła im drogę.

Pożegnał się z nią serdecznie, dziękując jej jeszcze raz za mleko i chleb.

To spotkanie natchnęło ich większą śmiałością i wiarą, szli więc pewnie. Zaledwie jednak wyszli na gościniec, zobaczyli gdzieś w połowie drogi osobliwy widok. Dwóch parobczaków stało na środku gościnca bijąc w blaszany garnek i zwołując ludzi do siebie.

Wnet pastusi i wszelkiego rodzaju wyrostki miejskie puściły się pędem w stronę zwołujących. Również co bliżsi chłopci, a nawet baby opuścili pracę i otoczyli zwołujących gapiącymi się kręgiem.

Przyspieszyli kroku i przyłączyli się do reszty ciekawskich.

Jeden z parobczaków, młody, o bladej, nerwowej twarzy, w wieku mniej więcej Wojtki, rozglądał się niepewnie po otaczającej go gromadzie, ale nie zdawał się widzieć nikogo, zablakany wzrokiem tu i tam. Drugi natomiast, który bił w blaszany garnek, czuł się zupełnie pewnie, patrzył na otaczających go z pobłażliwym, zadowolonym uśmiechem, nic nie wytrącało go z równowagi. O ile pierwszy z nich miał w sobie, szczególnie w spojrzeniu, coś dziwnie smutnego, tragicznego niemal, o tyle drugi budził już swym wyglądem wesołość. Na głowie miał jakiś zielonkawy dziurawy kapelus, z wyciągniętym wysoko, na szpic denkiem, na nosie okulary, w których oba szkła były pęknięte i spod tych właśnie okularów podglądał otaczającą go tłumę, bijąc bez przerwy w dziurawy blaszak. Gdy uzbierała się już spora gromadka, komiczny, chudy kapelusznik przestał walić w garnek i podniósł rękę na znak uciśnienia się.

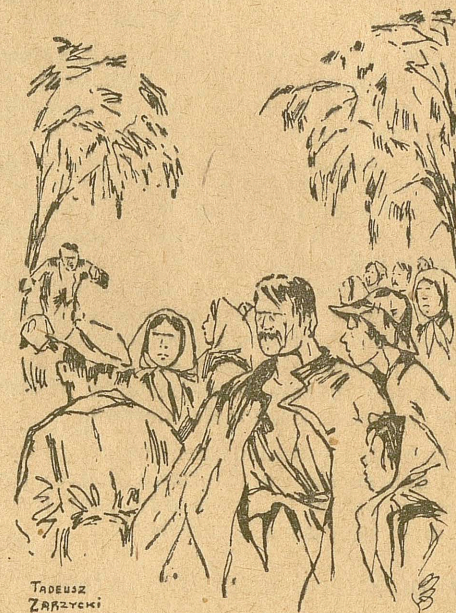
Wtedy bladej, nerwowej parobczak, stanął na zaimprovizowanym podium i zaczął przemawiać.

— Chłopi, obywateli wsi! W tej chwili, kiedy mówię tu do was, to w pobliskich wsiach policja jak barbarzyńcy plądruje domy waszych braci za to tylko, że się upomnieli o swoje prawa, że nie chcieli harować po 5 groszy za godzinę na pańskich, folwarcznych polach...

Jerzy spojrzał ze zdumieniem na Wojtkę, który niemniej ośmupiał jak on, milczał w odrętwiałej markotności, nie spuszczał oka z mówcy.

— Stare chłopcy nie odczuwają może tak boleśnie tego położenia, jak my młodzi... My, którym w wolnej Polsce zatarasowali drogę do pracy i wiedzy... — młody mówca zapalał się coraz bardziej, wy-

machiwał rękami, nerwowe oczy latały po tłumie — „Młoda wieś nie ma pracy. Tyśiące młodych chłopaków marnieje, duszą się na i tak już do niemożliwości rozdrobionej ziemi... Wieś nie ma pracy i przed wsią zamknęli drogę do dalszego kształcenia się w gimnazjach... my, chłopcy, nie jesteśmy dziś ciemną, niemrawą masą, której wystarczy oranie, sianie i czytanie na książeczce do nabożeństwa... my budzimy się do nowego życia, organizujemy się, stajemy się siłą, która nie ulegnie się byle jakiego durniowatego starosty, który wieś i polskość oblicza tylko na wysokość swojej pensji... my możemy nawet przegrać teraz i jeszcze kiedy, ale naszego chłopskiego ruchu, który ogarnia już całą Polskę, nie rozbije pałkami gumowymi żadna łajdacka policja...”



rys. T. Zarzycki

W tłumie, słuchającym dotąd chciwie, ale w milczeniu, poczęły teraz podnosić się okrzyki, groźby, nawołujące do solidarności chłopskiej, do walki, biernej dotychczas masę zapalały płomienie, buchające nienawiścią do rządu, wypominaniem krzywd, urazów.

Młody parobczak, podniecony zachowaniem tłumy, wybuchł coraz goręcej, gwałtowniej, jego blada, nerwowa twarz płonęła fanatycznym ogniem, głos drżał od wewnętrznego wzburzenia.

Młody, chłopski ruch organizuje się w związkach. My młodzi, rozpalimy taki ogień w Polsce, że od jego żaru gorąco się zrobi cholocie sanacyjnej, pchającej Polskę do zagłady i zguby, jak niegdys ogłupiała szlachta!...

Wśród chłopów wrzało już na dobre. Padły coraz gorętsze okrzyki, nawoływania, masa burzyła się. Młody mówca umilkł, rozglądając się nerwowo po falującej gromadzie, jakby dopiero teraz dostrzegł obecność każdego z nich, jakby te okrzyki obudziły w każdym poszczególnym chłopie jego najosobistszą fizjognomię.

Gdy się nieco uciszyło, młody mówca zapowiedział wystąpienie swego kolegi, poety ludowego, Teodora Jacka.

Znów spojrzeli po sobie, ośmupiali do ostateczności.

— Coś podobnego!!! No wiesz... — mru- czał Jerzy.

Wojtek kręcił się nerwowo, markotniał, to znów rozjaśniał się, nie dało mu ustać na miejscu. Wreszcie wysunął się nieco naprzód i chciał coś głośno powiedzieć do młodego mówcy, ale już na podium wtara- baniał się z szumem i paradą zielony kapelusznik, ponad miarę zadowolony, uśmiechnięty, mierząc pękniętymi okularami, z ojcowską niemal pobłażliwością gromadę. Wyciekawszy stosowną pauzę Jacek zaczął czytać grobowym głosem, zapewne dla większego efektu, jakieś sonety, triolety, sielanki pełne zwrotów o „kwiatuśkach”, „bydełku”, „strumyczkach” i aż trzeszczące od oklepanych i do tego gramatycznych rymów.

Drugie wydanie Perdeusza... — roześmiał się Jerzy, tracając Wojtkę... a to ci prawdziwy Jacek z pirogami...

Po każdym wierszu Jacek kłaniał się publiczności i dawał obszerne komentarze co do okoliczności powstania, rodzaju i jak się wyrażał z zadowoleniem „głęboko” swych utworów. Komentarze te ilustrowane obficie własnym awanturczym życiem, wywoływały, szczególnie u wyrostków i dziewczyn, wesołość swym niefrasobliwym ekshibicjonizmem, tak że wkró-

tce napięcie wzburzenia, wywołane przemówieniem poprzedniego mówcy, ustąpiło miejsca ogólnej wesołości.

Zobaczywszy, że w pewnej chwili młody agitator zszedł z podium, zostawiając deklamującego zajądła Jacka, Jerzy przecisnął się do niego, i niezręcznie, z pewnym wahaniem, poprosił o chwilę rozmowy na osobności.

Nerwowe, jeszcze gorejące od przemówienia oczy młodego agitatora spoczęły na nim z pewnym zdumieniem i jakby, niedowierzając, co zmieszało go jeszcze bardziej.

— Jestem gimnazjalistą... Jest nas dwóch... Chciałem porozmawiać...

— Owszem, owszem... Wyjdźmy stąd, bo tu nic nie słychać...

Z trudem przecisnęli się przez tłum i wyszli na gościniec. W tej chwili dopadł ich Wojtek.

— Witojcie, kolego, witojcie!... Kuciela się nazywom... — Pakował się od razu między nich, wrzał, szumił z przejęciem, aż kamieniejąc z markotności i ważności.

Młody agitator słuchał ze zdumieniem jego, szkaradnie zresztą przesadzonych, opowiadań o niezwykle wyczynach w szkole, ulotkach, napisach, przemówieniach, propagandzie na rzecz chłopów. Naturalnie o nieszczególnym przyjęciu przez chłopów Wojtek przeznornie zamilczał.

— ...Jo jezdem chłop, z gnoju, z przeproszeniem, zaczerniański!... — huczał ziewając ludowością — szlak mie trafił, kolego, jagem widziół auta załadowane chłopami... i to wszystko wciąż do więzienia i do więzienia... to było za male lo nos, te ulotki, napisy, agitacje między chłopkami... to nic, bo co to jest naprzeciwko tego, co się tu dzieje — pchało nos tu właśnie, we zawieruche, nie dało usiedzieć, tak i my wzieni i przyszli... No a tu patrzmy... a wy to już robicie, co my se uradzili.

— Rzeczywiście, rzeczywiście... ale strasznie się cieszę, żeśmy się razem... — młody agitator ścisnął im ręce, uśmiechał się przyjaźnie, wprost nie wiedział, jak ma ich godnie przyjąć — strasznie się cieszę, żeśmy się poznali, ale nawet wam się nie przedstawiłem — Micał się nazywam... z Malawy pochodzę... to po tamtej stronie Zaczernia... Ale strasznie się cieszę... Więc nawet w gimnazjach nasz ruch zyskuje na sympatii, o to świetnie!... O, muszę jeszcze dziś powiedzieć o tym moim kolegom z uniwersytetu...

— Z uniwersytetu?... — zdziwił się Jerzy.

— Tak, z uniwersytetu... ale takiego, wiecie, chłopskiego, czysto ludowego uniwersytetu w Gaci... Słyszeliście może o Gaci, o Solarzu...

— No pewnie!... skłamał Wojtek bez zająknięcia — wiecie kolego, nolepi będzie, jak podziemy razem... kupą, gromadą... bedziemy wygłaszać przemówienia, organizować... ale te wierszyczki... — pokazał pogardliwie w stronę Jacka — to szkoda czasu, ino chłopcy się z tego śmieją... takie wiersze, wicie, to jakby krasula usłyszała, to by sie zezgila na całego... Takie cmoje boje o „kwiatuśkach”, żeby się wściki... o, tu, patrzajcie kolego, tu macie poete, co już w Kurierze drukował, co nagrode za nagrodą broł na konkursach szkolnych... no, no, nie ró b się taki skromniutki, Jureczku... nie wszystkie poety som takie skromne jak ty... my tu mieli, wicie takie go nieskromniejsza, wicie, byka nie poete, ale nom się zezgiul i ucik... No to pojdzemy razem, gromadą... — Naturalnie... jeszcze jak!... Nie wyobrażacie sobie, jak się cieszę, teraz pojdzemy do Harty...

— A Zaczernie, Wojtek, a Zaczernie!... Jerzy chwycił wprost Wojtkę za rękę, żeby mu pomógł, — bo wiecie, myśmy koniecznie chcieli najpierw do Zaczernia... tam mamy, to znaczy już teraz nie mamy, ale jest tam nasz dawny kolega z ósmiej klasy, Domasz... tak, ten... mamy z nim porachunki osobiste... chcieliśmy mu imieniem całej klasy wykazać jego podłość, udowodnić jego kłamstwo, bezecność w oczy... mamy dokumenty na to...

— Nie rozumiem... no, bo jak wy tam się chcecie dostać... przecież tam policja obsadziła całą wieś... a Damsz już dawno został wywieziony do więzienia okręgowego — przecież po zabójstwie policja musiała go aresztować, jeszcze tak dobrze w Polsce nie ma, żeby zabójca sobie siedział w domu...

Jerzy słuchał speszony wprost wstydył się za swoją głupotę. Rzeczywiście jak

mogło im to nie przyjść na myśl Wyobrażali sobie, że Damsz tam chyba po wsi chodzi i ot tak, spotkają go na ulicy... I za kilka tygodni miał zostać absolwentem!...

— Chodźmy do Jacka... — Micał ujął ich pod pachę — chodźcie, posłuchajcie jeszcze, może wam się udać te jego wiersze...

Przecisnęli się przez tłum chłopów, przeglądając się im z ciekawością, i doszli do podium, gdzie właśnie Jacek ukończył swoje recytacje.

Chcąc dać chłopom sposobność do oklasków, ukłonił się salonowym gestem, ale tak nieszczęśliwie, że dziurawy, zielony kapcyndler spadł mu przy ukłonie na gościniec, co wyrostki i pastuchy przywitały radosnym wybuchem śmiechu, uważając to za integralną część programu.

Nagle na gościniec, niedaleko lasu, zahuczały motory aut. Ktoś krzyknął przeraźliwie... „policja! ludzie, laboga, uciekajcie!” i natychmiast wśród chłopów powstał popłoch, zamieszanie, krzyki, wszyscy poczęli uciekać, chować się po chałupach, stodółach i stajniach.

„Uciekajcie!” — krzyknął do Jerzego Micał, sam nie ruszając się z miejsca... schowajcie się w stodole, prędzej! — i pośpiesznie wydawał instrukcje, jak się mają chłopci tłumaczyć na wypadek śledztwa. Pod wpływem ogólnej sugestii Jerzy począł również uciekać. Przeskoczywszy rów, potykał się co chwila w ogólnym zamieszaniu, biegł w stronę najbliższej stodóły, potem wydała mu się jednak za mało bezpieczna, skrzył więcej w bok i dopadł jakiejś szopy, czując tuż za sobą sapiącego Wojtkę.

Dopadłszy szopy odwrócił się mimo woli i naraz zobaczył jak dwa auta policyjne zatrzymały się tuż prawie przed stojącym samotnie na szosie Micałem i niemal jednocześnie z aut wysypały się granatowe błyski mundurów, nadziane hełmami i karabinami. Na stojącego nieruchomo Micała spadł grad pałek gumowych. Micał zachwiał się, zasłonił rękami i upadł na ziemię.

Jerzy krzyknął ze zgrozy, jakby ciosy wymierzone w Micała trafiły w niego. W tej chwili Wojtek, wpadając, pchnął go i zatrasnął odrzucając szopy.

Był to już ostatni wysiłek, który mógł zrobić. Upadł ciężko na słomę i leżał nieruchomo, ostupiały, ogarnięty nagle niemocą rozpacz, bólu, wstrętu, płakał jak dziecko, jakby go skopano, zbito do nieprzytomności.

Od wsi dochodziły przeraźliwe krzyki, lament bab, płacz dzieci, trzask i huk, jakby burza zmiałała wieś z posad. Co chwila grał głuchy warkot aut, przewiercał te wszystkie odgłosy, gryzł je, podrywał się w coraz innym miejscu, a gdziekolwiek się dłużej zatrzymał, buchały w niebo czerwone krzyki, obdzierany ze skóry lament i skowyczący płacz.



rys. T. Zarzycki

Jak długo to trwało? Nie liczył, nie starał się niczego ogarnąć, zatrasnięty w sobie, ogłuchły na wszystko.

Dopiero niecierpliwy głos Wojtkę począł go szarpać i budzić, jak z ciężkiego koszmarnego zamroczenia.

— Chodź, Jurek... pojechały skurczybyki, pies im morde dropił... Podniósł się powoli, otepiały, zbolały wewnętrznie. Wojtek zaś, obserwujący dotychczas przez szpary, począł teraz ostrożnie otwierać odrzwia, kukał, wypatrywał, wreszcie otwarł je całkowicie.

— Pojechały, mordy zakazane... śpieszy im się na nowe rzezie... żeby was tak szlak trzy razy trafił i żebyście trzy razy musiały zdychać, wy pacholę, psiakrew... wy bandyci, pies wam morde dropił... wy trzy cholery.

Wyszli na pole rozglądając się niepewnie. Wieś wyglądała jakby huragan po niej przeszedł. Parkany potrzaskane, połamane, przed chałupami porozbijane, powyplekane graty, łózka, pościela, kilka szop zdemolowanych, rozniesionych do szczytu.



rys. T. Zarzycki

Krzyk bab latających jak oszalałe zmię, wzywających Boga na pomstę, niósł się po tym wszystkim, mieszał z wyciem psów i płaczem dzieci... Kilku chłopów leżało skrwawionych przed studnią, cucono ich, lejąc na nich wodę i wiążąc szmatami.

Z tego obrazu zniszczenia i zgrozy jedna tylko rzecz ocalała w sposób wprost prowokujący — to szpiczasty, wyciągnięty denkiem do góry kapelusz Jacka, leżący sobie niefrasobliwie na środku gościnca w tym samym niemal miejscu, gdzie upadł

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

Powieść o cierpliwym piechurze

Urodził się Edward Wrona 26.1. 1896 r. w Białej koło Makowa Podhalańskiego, pow. Wadowice. Dzielił tedy los wszystkich poddanych tego wielkiego germańskiego imperium kolonialnego środkowej i południowo-wschodniej Europy, w którym ziemiom Polski przypadła wymowna, anegdotyczna nazwa Golicji i Głodomorji, naskutek specjalnej polityki społeczno-gospodarczej austriackiego rządu centralnego i rodzimych konserwatystów, udaremniające postępy — mimo wcześniej przeprowadzonego niż w Kongresówce uwłaszczenia, — dalekiej od rozwiązywania tych spraw w duchu potrzeb mas stanowiących trzon mieszkańców tego kraju.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o ówczesnym ruchu ludowym — Edward Wrona został powołany do udziału w życiu państwa, jak Piotr Niewiadomski z powieści „Sól ziemi” Wittlina — dopiero wtedy, gdy trzeba było mięsa armatniego dla realizacji zabórnych celów germańskich ciemniców.

Narukował wtedy Wrona w maju 1916 r. do Kielc. Po krótkim przeszkoleniu wojskowym, jesienią tegoż roku bierze udział w walkach toczących się w Karpatach lesistych. Ranny — wraca do szpitala i do kadry. Stąd w maju w 1917 roku wysyła go na front włoski. Początkowo wojna tutaj nie przedstawiała się zbyt groźnie. Wszędzie są chłopci. A Słowacy w Krainie byli ludźmi dobrymi, życzliwymi i gościnnymi. I tutaj więc można było pracować przy sianokosach. Piękno kraju wywarło na Wronie niezatarte wrażenie. Niestety, sielanka na przyfrontowym etapie trwała krótko. Po miesiącu trzeba było ruszyć na front, który wkrótce przesunął się nad Piawę. Batalion szturmowy — to właśnie miejsce dla „słowiańskiego hydła”. Niechaj ginie za c. i k. ojczyznę.

Kiedy w październiku 1918 roku „sławna i niezwyciężona armia cesarska” wzięwszy cięgi nad Piawą rozleciała się w strzępy, tracąc setki tysięcy żołnierzy (pulk Wrony stracił ich w ciągu wojny dziesięć tysięcy), nasz cierpliwy piechur wraca o głódzie i chłódzie wśród chorób gnębiących rozbitą armię — do rodzinnych pieleszy.

W lutym 1919 roku staje się napowrót żołnierzem. Tym razem żołnierzem Rzeczypospolitej. Ofiarą jego chłopskiej krwi ma zapewnić wszystkim obywatelom pełnię swobody, w nowej „odrodzonej Polsce”.

Kampanię 1920 roku odbywa całą. Wróciwszy do domu, do tych samych bied i utrapień, mieszkaniom zawsze głodnej wsi podgórskiej, gdzie wobec niemożliwości dokonania działań prowadzić trzeba patriarchalnym sposobem gospodarke wspólna pod przewodnictwem ojca — głowy rodziny — z troską śledzi obrót spraw publicznych, oczekując zapowiadanych konstytucji marcową — zmian na lepsze.

Z gorzkości zawiedzionych nadziei powstają jego wiersze, w których ujawnia się zrozumienie dla doli żołnierza, który musi bić się

i ginąć oderwany od swej pracy, której przecie zawsze po łokcie.

W r. 1932 przejmując Wrona po zmarłym ojcu prowadzenie gospodarki.

Budzący się nowy radykalny ruch chłopski skupiający się wokół miesięcznika „Wieś — Jej pieśń” przyciąga i jego. Drukuje w piśmie tym swe wiersze, bierze udział w zjazdach pisarzy. Cieszy się, że krąg czytelników tego pisma rozszerza się, że pismo zasięgiem swych idei obejmuje coraz to większy krąg życia wiejskiego, przekształcając się w Nową Wieś.

Aresztowanie Czuchnowskiego i wyjazd Olchy do Warszawy rozprasza gromadę pi-

EDWARD WRONA

Moja wioska

Hej, wiosko moja, czarowna,
Pełna wroków jak wiosna.
Tyś moje szczęście całe,
Takie promienne, trwałe.

Hej! wiosko moja, w górach.
Ukryta, czasem w chmurach.
Gdzieś słońce pięknie świeci?
Gdzież życie miłe leci?

Z wiosną skowronek śpiewa,
Cudownie kwitną drzewa,
Zieleń pokrywa lasy,
Rozkosznie pachną kwiaty.

A w dali szumi rzeka.
U chaty piesek szczeka,
Na gruszy gwizdzą szpaki,
Gospodie sięją maki.

Kotek się cza! na dachu,
Wróble ćwierkają ze strachu,
W gaju zazula kuka,
W potoku młynek stuka.

Piosenkę wiatru niesie.
Słychać jej echo w lesie!
Gdzie na ukwieconej ścieżce
spotykam moje dziewczę!

Jawory

Jawory odświętnie stały, cienie leśne łaski.

Na szczytach gór pastuchów gasły watry.

Potok grał wodospadem, do rzeki staczał piaski.

Zachód tuńg krwawi, a tu tytanem stojał Tatry!

Polany mokrą łąką w potoki pchają lasy.

Wśród smreków dźwięczy kobza, z szalasu dym się podniósł...

W jabłoniach bąki dzwonią, a rośnię pija kwiaty...

Wieczoru dłonie wonne wiatru do wsi poniosł...

W topolach krzyczą sowy, jakby strącone duchy.

Na bagnie była karczma, na bagnie teraz straszny.

Na stawie wiosel chlupot w tataraki głuchy.

Nocne pajaki, duchy pełzają cicho na czaty!

Zwolna na nieba tęgu mrużą się gwiazdy cicho.

Pustą przez wieś ulicą błąka się ciemne lichy.

Poległym Radzieckim

Lewym łokciem zatopiony w śnieg, —
A głowa w tył rzucona,
Prawa ręka ku wschodowi wzniesiona, —
Jakiś braci przyzywał swych,
Aby ci głowę unieśli,
Kiedy ci z pierśi ostatnie uciec miało technie-

I oto mrozem ściśnięty śpisz.
Z oczami w niebo utkwiąnymi!
Niemiecka kula w sercu ci tkwi.
Nigdy już żonki, ni żonka ciebie nie utuli.
Tuli cię zimny śnieg i mróz!
Na dnie potoku, wśród polskich smreków i brzo-

Nie wrócisz już nad Wołgę, nie zobaczysz już Kaukazu!

Na wieki zostaniesz tu!

Tu wśród polskich smreków i brzo-

Twoje ostatnie krzyżo będzie technienie!

Latem słowik przyfrunie tu z Kaukazu

By twój budzić cię piosenką!

A brzoza płakać będzie w każdy rok.

Nie zbudzi cię słowika twego pieśń,

Ani dziewczyny słodki śmiech!

Tulić Was będzie polska ziemia

Piosenki Wam przyniesie wschodni wiatr

Z nad Donu, z nad Wołgi!

I śnić będziecie złoty kraj

W krainie wiecznych snów!

Wasze ostatnie technienie krzyżo będzie

Wśród polskich smreków i brzo-

Za bóg, trudy i znoję — tulić Was będzie

Polska Ziemia. —

PAWEŁ KUBISZ

Dyskusja o gwarze

Pogańska herezja

Paweł Kubisz jest czwartym chłopskim pisarzem, po J. Poganiu, A. Urbanie i St. Jusze (niezależnie od wypowiedzi krytyków: K. Budzika, A. Sandaury i J. Z. Kempfa), zabierającym głos na temat gwary. Poeta Kubisz jest głównym dziś, obok Nędzy-Kubińca i Pogana, pisarzem gwarowym, przedstawicielem dialektu śląskiego, wielokrotnie ostatnio atakowanym i przytaczanym przez każdego nieomal z naszych dyskutujących.

POGAŃSKA HEREZJA.

Dotychczasowe wypowiedzi ogłoszone na łamach „Wsi” w sprawie literackiej twórczości gwarowej, sprawiają wrażenie poglądów zaściankowych lub też wyraźnie stronnicych. Nie dziwiłbym się, gdyby te wszystkie głosy wyszły spod pióra profesorów matematyki, albo były dociekaniem przypadkowego szabrownika, który w najbliższej przyszłości chce się poświęcić studiowaniu filologii. Dlatego nie mało mnie zaskoczyło, że o gwarach polskich, o ich wykorzystywaniu w tworze literackim, mogą pisać w tak nieodpowiedzialny sposób pisarze. Ten brak odpowiedzialności jest różny, jedni wypisują, co bezpośrednio myśla na ten temat, bez odpowiedniego przygotowania naukowego, inni znów jak Jalu Kurek chcą na poczekaniu stworzyć tezę hokus-pokus, która miałaby poświadczyć, że ho, ho — patrzcie, ja ich już urobie, pokażę wam jak z kurzego jajka lęgnie się kukulka!

Co osobiście myślę o twórczości gwarowej, powtórzyłem to na sierpniowym zjeździe literatów chłopskich w Warszawie. Tam też, o ile pamięć mnie nie myli, doszło do ogólnego potwierdzenia nobilitacji gwar w literaturze polskiej. Nagle wynikła w tej sprawie dyskusja na łamach „Wsi” uważam za próbę skonkretyzowania.

NAJPIERW NIECH SIĘ WYPOWIEDZA JĘZYKOZNAWCY.

Kto z literatów chłopskich studiował poza swym ośrodkiem wsiowym czy dzielnicowym, resztę innych gwar polskich? Chyba będzie takich nie wielu. Ilu literatów chłopskich zna poza językiem polskim, inne języki słowiańskie? Aby pisać o gwarze, aby tworzyć w tej czy innej gwarze polskiej, trzeba mieć to podejście, związane z pewnymi znajomościami językowymi. Gwarowi pisarze podhalańscy powinni znać język słowacki i czeski, pisarze śląscy prócz tych dwóch powinni znać i język niemiecki. A to gwoździ nalciałości gwarowych. Albo: urządzmy ankietę, która będzie miała na celu uzyskanie informacji, ile polskich pisarzy jest przynajmniej cośkolwiek zorientowanych w tak obco dla nich brzmącym przedmiocie, jak „gwary laskie”. Ilu z nich czytało na ten temat pracę językoznawcy Stieberta? Mamy przynajmniej trzech czy czterech literatów polskich, którzy interesowali się lub interesują tymi problemami już choćby z tego tytułu, że przecież dla twórcy, dla poety i pisarza są to jego serdeczne sprawy! Otrząskaj Polskę z gwarą podhalańską Tetmajera i inni... ale dzisiaj Nędzę-Kubińca za to samo chce się zakrzyć! Wiemy coś w Polsce o gwarze kaszubskiej, nie zbyt wiele o gwarach śląskich, coś chlepnęliśmy z gwary podkrakowskiej z szmoncesowej „Marcyny” Kędziory, i jeszcze jakichś tam parę mgławicowych urywków, ale na tym znajomości nasze się kończą. Opolszczyzna, Warmia, Mazury... chyba też tam jakoś ten lud gada... zaś wszędzie wzdłuż całej Polski popularnie warszawskie żargonko Wiecha! W ząbek nas chesz — rozum nam chcą zakuć! Zagadnienie twórczości gwarowej jest zbyt poważnym problemem, aby je można było załatwić tylko przez wypowiedzi pisarzy. W tej sprawie muszą się wypowiedzieć przede wszystkim językoznawcy. Wypowiedź pisarzy — to precedens wtórny. Trzeba bowiem ustalić, jak już powiedziałem, pewien wymiar, które i jakie gwary polskie powinni pisarze znać a które jako tworzywo artystyczne, odrzucić. W jakiej gwarze może być napisany wiersz, a nie może być napisana powieść? Czy w ogóle jakakolwiek powieść może być napisana li tylko w gwarze? Przykład Kędziory jest odstrasającym, ale nie decydującym! Ja osobiście opowiadam się za nobilitacją dwóch gwar polskich: podhalańskiej i śląskiej — ściśle: cieszyńskiej, tak bliźniaczo pokrewnej gwarze opolskiej i ciążących do nich gwar laskich. Nie chcę się rozwódzić na temat gwary podhalańskiej, wyśpiewa chyba na jej cześć pean uroczysty Nędza-Kubińiec, jakoż, że i z

krytyków dobrze kpić potrafi a sentyment u niego do Podhala jest namiętny. Stoczył wypadnie mi tylko kampanię o gwarę cieszyńską. Atuty proste i przekonujące. To, co wyszło zagubili w Polsce, to u nas jeszcze trwa, sześćset przeszło lat (wypisuje: słowniel!) była ta gwarą w użyciu, nie zdążyła się przeżyć i w grób położyć, była i jest za zbyt piękną, jak cały ten kraj niekończących się cierpień i walki, — żeby się stać inaczej mogło. My, u nas — mówimy jeszcze dotąd od sześciuset przeszło lat: wiatre, cioszczek, tróm, zaguzdrane życie. Pokutuje ciągle u nas Rej, Modrzewski, ich staropolska herezja językowa. Zniemczyli się Piastowie, poszła za nimi polska szlachta w ogonie... pozostał jedynie lud „pańszczorz na pańskim zagónie”, który w staropolskiej mowie, kłął tak samo gwarowo na swój los, jak klnie i sobaczy na życie dzisiejsze. Gwara cieszyńska, to mowa ludu, gminu, pospólstwa, to niezgaszona polskość przez wojny, ucisk i niewolę. Powie ktoś: ona wymiera, ona wymrze — ja mu odpowiadam: może za lat sto, za lat dwieście, ale stanowczo przetrwa dłużej jej żywotność, niż skalana żywotność dzisiejszej polskiej awangardy literackiej. Dlatego dopuście do sądu językoznawców i historyków, niech oni mówią... a potem niech się wypowiedzą pisarze i twórcy!

PRZYBÓŚ, CZECHOWICZ, WAŻYK, POGAN I URBAN.

O Jalu Kurku już wspominałem, nie chcę się powtarzać, nie chcę analizować jego artykułu o regionalizmie i gwarze. Ta metoda, którą posługuje się Jalu Kurek w artykule zatytułowanym „Góralu czy ci nie żal?”, który był zamieszczony na łamach „Wsi”, jest za zbyt płytka. Wmawiać komuś, że pisanie gwarą nauczył Tetmajer jest nieracjonalne i dorywcze. Gdybyśmy zaczęli szastać takimi argumentami mieszczaniskimi, to najspokojniej moglibyśmy powiedzieć: Jalu Kurka po polsku nauczył pisać Mikołaj Rej z Nagłowic i iluś tam jeszcze pisarzy polskich, epigonów tego Reja.

Działo się to dobrych kilkanaście lat przed wystąpieniem Jalu Kurka, kiedy zabrakł głosu na temat gwary cieszyńskiej jego bliski kolega — Julian Przybóś, przebywający podówczas jako profesor gimnazjum w Cieszyźnie. Wówczas Przybóś, jak sam przyznawał publicznie, przekonał się do śląskiej twórczości gwarowej, ale podejście Przybósia cechowała skrupulatność, nie pośpiech pisania od wiersza, ale dłuższa obserwacja, męczące wnikanie w problem śląskiej twórczości gwarowej. Przybóś jako poeta zdobywczy i wiecznie poszukujący swego ciągle nowego, związęgo, indywidualnego i pionierskiego osiągnięcia w poezji polskiej, być może, odnajdywał podówczas pokrewne elementy w fakcie twórczości. Bo rzetelne tworzenie w samej wyłącznie gwarze, nie jest jakby się mogło później wydawać, ukrywaniem nieporadności, jak twierdzą zazdrośni neofici, lecz procesem dosyć dużego wysiłku twórcy, czującego często nieporadności gwarowe. Twórca gwarowy — a mówię teraz o wierszach — nie napisze za rok dobrego tomiku poezji gwarowych, ale trwa to znacznie dłużej, niż rzucenie na rynek tomiku poezji zwyczajnie językowych. Mogłbym i mogę nie zgadzać się w wielu wypadkach z Przybosiem, mogę nazwać jeden z jego ostatnich artykułów, ogłoszonych niedawno na łamach „Odrodzenia” w sprawie pisarstwa ludowego — „wyswiechtanym komunałem pasującym” doskonałe do lat 1920 — 1936 w Polsce a niegodnym nazwy roku 1945 — ale jego dawniejsze definicje i wytyczne w sprawie twórczości gwarowej budziły u mnie pełny podziw. Jego prekursoryczne wniknięcie w to bądź co bądź trudne zagadnienie, jakże diametralnie różni się z wystąpieniami, niektórych autorów z Łódzkiej „Kuznicy” z końcem roku 1945! Tam, to już trafiono przysłowiową kulą w płot! Obudzono naraz na łamach „Kuznicy” Jana z Czarnolasu i spłynęło protekcyjnie pod naszym adresem wzorem, który jakoby przyjęto za swój własny. Szkoda, że tak późno odkryła „Kuznica” dawno odkrytą Amerykę! Bo prócz Juliana Przybósia, był to nie kto inny tylko Józef Czechowicz, którego podejście do śląskiej twórczości gwarowej, publikowane w roku 1938 — podbiło o niebo zalecane wzory z „Kuznicy”, gdyż właśnie Czechowicz, wtedy stwierdzał, pi-

sząc o śląskiej twórczości gwarowej, że przypomina ona dawno przebrzmiałe echa Jana z Czarnolasu. Wypłynęło przed nim znowu stare słownictwo, zagubione przez figlarnych utracjuszy literackich. I wtedy Czechowicz z pełną pochwałą, w zupełnym zrozumieniu ogólnopolskiej tezy gwarowej, rozstrzygał sprawę na korzyść pisarzy gwarowych! Nieznajomość dawniejszych wypowiedzi, stała się także jednym z powodów — z czego nie zamierzam nikomu czynić wyrzutów — do ogłoszenia pobieżnego artykułu Adama Ważyka w numerze 8 „Kuznicy” p.t. „Mitolodzy Wsi”, gdzie z fujarek pospólstwa i gminu, prędko i raptownie zmaistrowano kułackie fujarki. W pewnym miejscu swego artykułu pisze Ważyk tak:

„Ale dlaczego do gwary powraca Paweł Kubisz? Widzieliśmy go na zjeździe w Krakowie, mówił tym samym językiem co inni literaci. Chyba nie będzie wymagał, żeby podręczniki szkolne były pisane gwarą? Chyba nie sądzi, że wieś oświecona zachowa tę swoją, tak rozczulającą odrębność. Chyba nie wymaga od chłopów dwujęzyczności. Nie ja mu stawiam to pytanie, tylko praktyka społeczna”.

DYSKUSJA Z WAŻYKIEM.

Ponieważ atak formułowany jest zbyt wyraźnie, trzeba mi na to odpowiedzieć. Jeśli na zjeździe w Krakowie przemawiałem tak, jak inni literaci, to nie jest powodem, żeby nie potrafił przemawiać w jeszcze innym języku. Co me przemówienie w Krakowie, wygłoszone w języku „normalnym” ma mieć wspólnego z pisanem gwarowym, nie wiem. A może Ważyk chciał w taki sposób powiedzieć: widzicie, gwarę to on zna, ale ponieważ władza równocześnie poprawnym językiem literackim, nie powinien mieć nic wspólnego ze wsią. Lecz ja jednak jestem innego zdania: szkoły prawie nic mi nie dały, wszystkiego czego się nauczyłem (i języków!) poza szkołą w ciężkich warunkach wsiowych samouka. Ze wsią i z ludem wiąże mnie wszystko... z miastem chyba tylko pobyty w więzieniach i druzgotanie tam zdrowia! Aby podręczniki szkolne były pisane gwarą, tego nie wymagam i nigdzie się nie domagałem! Ale natomiast, żeby w tych szkolnych podręcznikach były zamieszczane także i wiersze gwarowe i proza chłopska, tego wprost żądam! Wbrew mniemaniom Adama Ważyka, muszę powiedzieć, że śląska wieś oświecona zachowała dotąd i zachowuje tę swoją — jak ją Ważyk nazywa — rozczulającą odrębność i ślascy chłopcy i robotnicy czy wykształceni lub niewykształceni operują tą dwujęzycznością, nawet często trójjęzycznością. Praktyka społeczna w tym względzie na Śląsku nie postawiła mi jeszcze takiego zapytania, jakie w jej imieniu stawia mi Ważyk...

CZY GWARA JEST ANTYPANSTWOWA?

Nie chciałem jednak krzywdzić Ważyka, dlatego przypuszczam, że jego pytania są raczej chwytem agitacyjnym, bądź też Ważyk miał na myśli inne tło zagadnienia... dzielnicowość, separatyzm, państwowość czy antypaństwowość gwary. Gdyż i z tego trzeba sobie zdać sprawę, ale to już jest broń indywidualna każdego twórcy gwarowego, dyscyplina i obowiązek zaś nakazuje, że broni tej nie wolno nadużywać w pewnym określonym kierunku. W Polsce nie było jeszcze takich wypadków i dziś już nie będzie, natomiast za granicą był podobny objaw, lecz i ten sporadyczny wypadek potwierdził jedynie tą samą tezę określoną przez językoznawców różnej narodowości. Separatyzmu i dzielnicowości nie wytwarza twórczość gwarowa, lecz zazwyczaj składa się na to szereg innych czynników natury administracyjnej, zadaniowych urzędów zaborskich czy też hegemoniczne posunięcia władz centralnych i t.p. Właśnie obecna chwila dyktuje nam wprost nawrót do języka ludowego, do nieprzebranego słownictwa gwar polskich. Przyczyną technika użytkowania gwary może być różna, że tak powiem: etapowa. Dziś ten i ów pisarz uprawiać będzie swą twórczość w lokalnym zakresie swej gwary a już może jutro inny twórca w drugim etapie będzie się posługiwał wyrazami, zaczerpniętymi z tej, tamtej i innej gwary polskiej, wprowadzając je w ogólny nurt mowy i literatury polskiej. To już jest i jeszcze będzie poszerzeniem mowy polskiej.

DYSKUSJA Z POGANEM.

Innym trybem rozumowań poszedł drażniący pisarz soczystych scen chłopskich i gwary podkrakowskiej, J. Pogan. Mnie samemu gwarą podkrakowską nie odpowiada jako tworzywo artystyczne, jest to gwarą, w której brak dosadności językowych i piękna dźwięku. Te wszystkie „ftoki”, „ftory”, „fto”, te wszystkie „hawok”, „hawek” czy tomahawek — rażą, jeszcze proza, jeszcze — ale nie wiem jakie paskudztwo wyszłoby z tego wszystkiego, gdyby Pogan zaczął w tej gwarze popisywać się poezją! Wprawdzie impulsywny Pogan atakuje mnie szpetnie za to, jak to nazywa przeciwieństwa ortograficzne, ale ja już wolę pisać gwarowo gniew przez „y” ponieważ taka jest fonetyka, bo tak nakazuje mi zdrowy rozsądek a nie nieprzemyślany impuls. To, że tak pisząc, męczę chłopów, jak powiada Pogan, jest chyba jedynie podkrakowską przesadą, gdyż dobrze się orientuję i poczyniłem szereg doświadczeń w tej sprawie, zaś Pogan podumał i wydumał „legendę” i bez zastanowienia, aby sobie użyć, machnął ją do „Wsi”. Wśród wielu innych, błędne jest też powiedzenie Pogana, kiedy zmyśla, „że gdybyśmy pewne wyrazy napisali ortograficznie, to jednak gwarą wcale by się przez to nie zmieniła”. Ani tu ręk, ani nóg — a głowa w powietrzu zawisła!

Kapitałną złośliwością Józefa Pogana w jego artykule „Gwara to nie chińszczyzna” jest post scriptum pod adresem Stanisława Juchy, który w myśl słów Pogana „może wynaleźć nowe czcionki drukarskie na drukowanie swych dziwologów”. Nie chcę na tym miejscu omawiać wartości artystycznej utworu Juchy o którym wspomina Pogan... chodzi mi tutaj jedynie o te czcionki na dziwologów gwarowe. Otóż aby Pogan wiedział, że jego złośliwie — genialny żart z tymi czcionkami jest żartem, który posiada srebrzystą brodę. Taki wypadek dawno się już zdarzył... jeśli chodzi n.p. o język litewski. Wymyślił sobie takich kilka nowych czcionek wschodniopruski pisarz litewski Vydunas i tak drukował swe książki. I niech Pogan słucha: o tym samym pisarzu litewskim Vydunasie wykładano na uniwersytecie Witolda Wielkiego w Kownie corocznie pełny cykl p.t. „Vydunas”, składający się z czterdziestu wykładów. Nie trzeba więc z propozycjami „czcionkowymi” igrać, bo wtedy dr. Spytkowski na serio się przeraził! Na obronę Pogana jednak mogę dodać, że pewne przyznanie się do „grzechów gwarowych” z jego strony, nastąpiło mnie na pogodną nutę i dlatego przebaczam mu solennie te jego epitety o wywrotowcach, którzy piszą odwrotnie! Wypadałoby mi jeszcze zająć się artykułem Antoniego Urbana z Lutycz, ale na niektóre poruszone przez niego kwestie, już odpowiedziałem w polemice z innymi autorami. Stanowisko przeciw gwarowe Urbana jest wybitną antytezą tego, co sam stwierdzałem i badałem w innych odcinkach kraju. Być może, że Urban w kręgu własnych doświadczeń, nie przerastających swym zainteresowaniem jedno go czy kilku powiatów Polski, rzeczywiście odniósł takie wrażenie i doszedł do wyników, które opisał czytelnikom „Wsi”.

REGIONALIZM

I PSEUDOREGIONALIZM.

Dotychczasowa polska twórczość literacka, pozostaje poza barierą regionalizmu, tak bardzo związanego z twórczością gwarową. Regionalizm w Polsce oddawna i do dziś dnia spychany jest na szlak wymiaru prowincjonalnego, dzielnicowego; wszelkiimi środkami bronił mu dostępu w ogólnopolski prad tworzenia. Tylko tu i ówdzie — jeśli mówimy o literaturze — udało się kilku pisarzom wdrzeć na pierwsze stopnie literatury ogólnopolskiej — ale i tam prędko zaczęto ich chrząć mianem profanów. Natomiast szeroką falą wciekał do literatury narodowej niesłusznie pseudoregionalizm, łatwizna twórcza, przeplatanka gwarowa lub też gwarą stylizowana. Tym pseudoregionalizmem cuchnie „Marcyna” Kędziory, szereg utworów Zegadłowicza, pseudogwara Gustawa Morcinka, jedna z książek Zofii Kossak-Szczuckiej, w której gwara cieszyńska jest kpiną z języka perskiego a nigdy gwara cieszyńską i t.d.

(Dokończenie na str. 7-ej)

ADOLF OLECHNOWICZ

Jeden dzień w Uniwersytecie Ludowym

CZEGO BRAK W DYSKUSJI O TUL-u?

O Uniwersytetach Ludowych dużo się pisze, a niemal wszystko co się pisze i mówi to szukanie odpowiedzi na pytanie: jakie winny być Uniwersytety Ludowe? Odpowiedzi są różne, a nie rzadko — sprzeczne. Wniosek, że uniwersytet ludowy u nas jest, mimo tradycji, sprawą ciągle nową, szukającą formy, krystalizującą się. Dlatego dyskusja na temat: jakie winny być uniwersytety ludowe — ma swój sens, tylko wydaje mi się że najpierw należy zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, jaki już jest dzisiaj uniwersytet ludowy, i wtedy dopiero zabierać się do jego udoskonalenia. Tymczasem zabiera głos wielu takich, którzy żywego uniwersytetu ludowego nie poznali i przez to wypowiedzi ich są akademickim tylko rozważaniem.

Uniwersytetów Ludowych w Polsce jest już dzisiaj 50 i ciągle liczba ich rośnie. I tak, jak zdania o istocie uniwersytetów ludowych są różne, podobnie rozmaite są istniejące już uniwersytety. Spróbujmy pokazać jeden z nich.

Oto dzień pracy i życia, dzień, który wspólnie ze słuchaczami i wychowawcami przeżyłem.

RANEK

Jest wczesne rano. W sypialniach Internatu najpierw szmery, potem rozmowy — budzą się słuchacze. Jeden ubrany już i umyty czyta, inny, nucąc cicho, myje się jeszcze inny dopiero się budzi. Jak w domu, jak w rodzinie. Nie ma tu wojskowej pobudki i żołnierskiego tempa, nie ma koszarowych zwyczajów, chociaż łózka, jak w koszarach, rzędem ustawione. Każdy wie, że o godz. 7.30 ma być w jadalni na śniadaniu i to wystarcza. W sypialni słuchaczek tak samo — uniwersytet ten jest koedukacyjny. Nie ma ściennego zegara, który umieszczony na widocznym miejscu, wskazywałby godzinę. Trzeba wyrećzać się trąbką — oto głos jej rozpylnał się po gmachu. Znaczący to, że jest godzina 7.30. Wszyscy słuchacze i wykładowcy schodzą się do sypialni, stają wkoło, śpiewają.

„Pozdrawiamy nowy dzień dzień...”

Kończy się pieśń, mówią sobie „dzień dobry i siadają do stołów. Po śniadaniu wstają, biorą się wszyscy za ręce i dziękują. Chwila przerwy.

Pogańska herezja

(Dokończenie ze str. 6-iej)

Potwierdziło się w Polsce wiele szkół i szkółek poetyckich o dziwnych programach importowanych z zagranicy — z przeoczeniem polskiego regionalizmu i polskich gwar ludowych, z których powinien być wyrośnięty jakiś pół francuski i ćwierć indywiduallyno-jednostkowy ruch awangardowy, czy niewiarą zalatujący autentyzm — lecz nowy ówczesny zryw polskiej twórczości ruralistycznej: wiejskiej prozy i wiejskiej poezji! Lecz już dziś, powołaniu przetacza się zwrotnica i w dziejach literackiej twórczości polskiej. Na scenę wychodzą coraz częściej i coraz częściej rusyfikalni mówcy, wyczuwający podświadomie jeszcze instynktownie czar językowego tworzywa spod chłopskich chałup, które trzeba przetopić i uszlachetnić, aby wielką sieją rzucić go w ów wielki korzec słowa polskiego, mowy narodu!

To, co dzisiaj jest u nas dyskutowane na temat gwarowości, na temat regionalizmu i powiązania kultur dzielnicowych w jeden wspaniały i barwny snop kultury ogólnonarodowej, dyskutowane jest także indziej i dalej. Tylko brak dopływu słabo do nas ciekających wieści, nie zezwala nam na dokładne zorientowanie się w przeobrażach kulturalnych, jakie zachodzą i u innych narodów. Właśnie przede mną leży zeszyt obcojęzycznego czasopisma literackiego, gdzie zamieszczono wygłoszony w Londynie odczyt w marcu 1945 roku (T. S. Eliot: Kulturalna różnorodność i europejska jedność). Odczyt ten osobiście harmonizuje z wszystkim, co powiedziałem wyżej o regionalizmie i gwarach u nas, choć omawia te sprawy ze stanowiska regionalizmu angielskiego i ogólnie europejskiego. Chcę na zakończenie przytoczyć urywki z rozmowy, jaką na te tematy prowadziłem w początkach roku 1939 z niezłym dzisiaj Karolem Rzykowskim w czasie jego pobytu w Cieszyźnie. Ale o tym innym razem — chyba aż w replice, bo czuję że gromy bić będą przeciwko mej pogańskiej herezji!

GODZINY WYKŁADOWE

Trąbka — godzina 8-ma. Słuchaczki i słuchacze wchodzą do sali wykładowej, siadają na ustawionych wokół ścian ławach. Ławy i nic więcej — nie przypomina to żadnej szkoły, raczej może — jakieś zebranie sąsiedzkie w dużej, schludnej izbie. Przed jedną ławą stół przykryty łowickim pasiakiem, za stołem, między słuchaczami, wykładowca.

Teraz słuchacze, wraz z wykładowcą śpiewają pieśń ludową. Wykładowca zaczyna mówić. Punktem wyjścia jest treść przed chwilą śpiewanej pieśni, prosta, ale jakże w życiu człowieka aktualna, jakże dla słuchaczy-chłopów bliska. Słuchacze, przeżywając treść słów wykładowcy, przenieśli się wyobraźnią na ziemię śląską, na ziemię, mimo niewoli, wiecznie polską, na ziemię polskiego czarnego diamentu. Oto obcuje już ze śląskim pisarzem Gustawem Morcinkiem, oto rozmawiają, współżyją i współczują z twardymi jak ten czarny diament, polskimi górnikami. Osnowią wykładowca jest przeczytana uprzednio nowela Morcinka. Ale nowela jest tylko pretekstem dla wykładowcy, by wskazać elementy dobra, które jak u bohatera noweli, winny być drogowskazami uczciwego człowieka.

Chóralna pieśń na swojską nutę kończy wykład.

Była to lekcja z cyklu — „Literatura”.

Po przerwie, inny już wykładowca, mówi z cyklu: „Dzieje życia i porządek w przyrodzie”. Znowu na wstępie śpiew. Wykładowca zaczyna słowami śpiewanej przede chwilą pieśni: „...błogosławiony chleb ziemi czarny...” Dalej cytując Norwida „...o kraju gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie”. Stawia słuchaczom przed oczami ich własną wieś, dom, ziemię rodzinną, ojca, dziadka, który nie przejdzie obojętnie obok kłosa leżącego na rzysku, tylko — mimo starości — schyla się i podnosi go. Oto życie człowieka, a zwłaszcza chłopca, jest związane z przyrodą. Dzięki rozumowi człowiek wykorzystuje przyrodę dla swojej wygody, umie uczynić, że daje ona to, co mu potrzeba. Oto zboże było ongiś w stanie dzikim, nie rodziło tak, jak dzisiaj. Człowiek przez ciągłe obcowanie ze światem roślinnym podpatrzył jego tajemnice. Zrozumiał, że roślina w zależności od warunków, może wyrosnąć bujnie, lub zmarnieć, może się doskonalić, a następnie doskonałe swoje cechy przekazywać potomkom. Trzeba przyrodę ukochać, poznać. Przez poznanie jej uczymy się życia.

Śpiew, przerwa.

Godzina następna — wykład z cyklu: „Dzieje chłopów”. Za stołem staje trzeci wykładowca. Znowu śpiewem rozpoczyna się wykład. Pieśń kończy się słowami:

„...sialiśmy na cudzym, ruń nam rosta smętna;

będziem zbierać chleb na własnym. — każde ziarno centnar”.

Wykładowca wprowadza słuchaczy w czasy przeszłe. Nie zawsze było jak dzisiaj. Chłopi — praojcowie nasi — żyli wieki w niewoli, wieki całe „ruń im rosta smętna”. Mimo niedoli, jaką znosił musieli, byli współtwórcami historii Polski, ale historii tej nie pisali i dlatego wielką pracę chłopów i zasługi ich albo świadomie pomijano, albo wpisywano na konto szlachty. Na podstawie źródeł historycznych daje wykładowca żywe przykłady z życia publicznego i prywatnego dawnych czasów. Słuchacze poznają ciężką dolę chłopów, przodków swoich, sprzed kilku wieków. Wykładowca zapowiada, że w wiekach następnych dola ta stawała się cięższa, że były zrywy chłopów celem wyzwolenia jarzma niewoli, ale o tym będzie mówił na wykładach następnych. Godzina się kończy mocną chłopską pieśnią.

Między godziną 11—12 gimnastyka prowadzona systemem duńskim. Od godziny 12 do 13 czytanie literatury pięknej poprzedzone i kończone śpiewem — tak samo jak wykłady.

Na tym kończyły się zajęcia przedpołudniowe.

ZAJĘCIA POPOŁUDNIOWE: DYSKUSJA

Zanim przejdę do zajęć popołudniowych chcę wyjaśnić; po pierwsze — że cykle wykładów, które wyżej wymieniłem, nie powtarzają się co dnia. W programie są takie cykle: Literatura piękna, Dzieje życia i porządek w przyrodzie, Historia, Rodzina, Historia sztuki, Kultura ludowa, Socjologia wsi, Gospodarstwo społeczne, Spółdzielczość, Ustroje państw, Zdrowie i in.

Po drugie — w czasie wykładów nikt ze słuchaczy nie robi zapisów, nie stawia pytań. Notować może kto chce, ale po wykładzie, zaś pytania i dyskusja nad zagadnieniami poruszonymi w wykładach odbywa się po południu na specjalnej godzinie dyskusyjnej.

Między godziną 13 a 15 — obiad. Słuchacze i wykładowcy wstając od stołu, tak jak i po śniadaniu, biorą się za ręce tworząc w ten sposób zamknięte koło, ścisną sobie wzajem dłonie ze słowami „dziękujemy” i rozchodzą się.

Od godziny 15—17 zajęcia dyskusyjne. Zajęcia te prowadzą sami słuchacze. Po kolei — jeden ze słuchaczy przewodniczy i jeden protokółuje. Wykładowcy są teraz na prawach słuchaczy. Tematem dyskusji bywa: a) krótki referat jednego ze słuchaczy; tematy referatów ustalają słuchacze wspólnie, następnie między sobą je rozdzielają i opracowują; b) któryś z wykładów przedpołudniowych tego dnia lub poprzednich; c) gazeta mówiona, lub jakiś artykuł z prasy; d) film, sztuka teatralna, koncert, zwiedzenie fabryki, czy jakaś inna impreza, na której słuchacze wspólnie byli (Uniwersytet znajduje się obok wojewódzkiego miasta). Wykładowcy zazwyczaj zabierają głos w dyskusji ostatni, reasumując wypowiedzi. I teraz, jak przed południem, zaczęło się śpiewem i śpiewem się kończy.

INSCENIZACJA

Od godziny 17 do 19 zajęcia teatralne. Oto biorą popularną pieśń ludową: „Miał stary ojciec trzy córki” i przekształcają ją na obraz sceniczny. Ten teatr z pieśnią — prosty i szczerzy — silnie przemawia do chłopskiego widza, że może rzadko teatr zawodowy tak przemówić potrafi. Jednak wcale nie jest to łatwe. Trzeba specjalnego talentu, żeby z pieśnią zrobić sztukę. Łatwo o parodię — bo inscenizacja wymaga umiaru, wyczucia, subtelności. Uniwersytet ludowy, o którym mowa, ma taką siłę; dzięki niej właśnie praca teatralna ma tu charakter oryginalny i sięga wysokiego poziomu.

Od godziny 19 do 20 jest wieczerza, a od wieczerzy aż do spoczynku najczęściej są zajęcia indywidualne: ciche czytanie książek, czasopiśm, pisanie listów, artykułów do ściennych gazetki, robienie wycinanek, szycie kostiumów teatralnych itp.

Potem ostatni wspólny śpiew:

„A już dobranoc...” i spoczynek.

Tak wyglądał jeden dzień pracy, przy tym zwracam uwagę, że nie jest on specjalnie wybrany, po prostu dzień, jaki się trafił. Dnie są podobne, ale bywają inne. Oto zdarza się, że oprócz trzech stałych wykładowców, przyjedzie z wykładem ktoś nowy, że wypadną imienniny któregoś ze słuchaczy, czy wykładowców, że przypadają święta doroczne lub okolicznościowe, że się na popołudnie któreś zjadą sąsiedzi z okolicznych wsi — te i tym podobne okoliczności wpływają na treść i formę pracy i życia uniwersytetu ludowego w takim „innym” dniu.

CZY UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH JEST ZA DUŻO?

Powiedziałem na wstępie, że uniwersytetów ludowych w Polsce jest już 50 i, że liczba ta stale rośnie. Niektórych to niepokoi, bo to szybkie rozrastanie się, twierdzą, obniży poziom uniwersytetów. Być może. Ale z drugiej strony pomnażanie uniwersytetów ludowych ma i dodatnie strony. Cóż z tego, że mielibyśmy bardzo dobre uniwersytety ludowe, ale tylko kilka. Te parę ognisk miałyby znikomy wpływ na kilkunasto milionową całość chłopów. Na minimalny rezultat trzeba byłoby czekać kilkadziesiąt lat. Słuchacze

tych paru uniwersytetów byłiby ciągle w stosunku do wielkiej rzeszy chłopów, kropłą w morzu. Trzeba dbać o poziom uniwersytetów ludowych, trzeba strzec istoty ich sensu, ale wydaje mi się, że trzeba wszystko zrobić, żeby sieć uniwersytetów ludowych, żeby chłop z przesiąchanym uniw. lud. nie był, jak dotychczas bardzo rzadkim wyjątkiem. Gdyby Duńczycy ograniczyli się tylko do paru uniwersytetów ludowych, gdyby, bojąc się obniżenia poziomu i ztrącenia istoty uniwersytetów, nie poszli na zwiększenie ilości, nie osiągnęliby takich rezultatów — tak wspaniałych przemian człowieka i życia w całym swoim kraju.

Jakość uniwersytetów ludowych zależy od ludzi, którzy go prowadzą. Odpowiednich ludzi brak, to jest największa trudność z którą uporać się nie może Ogólnopolskie Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych. Na wszystkich konferencjach uniwersytetów lud. potrzeba wykładowców była dominującą i właściwą, mimo różnych projektów, w dalszym ciągu nie zaspokojoną.

Tymczasem życie nie czeka — liczba uniwers. lud. wzrasta i jacyś ludzie muszą w nich pracować i, jak umieją, pracują. To jest może nienajgorzszą drogą. Tym sposobem wypracuje się naturalny, właściwy typ polskiego uniwersytetu ludowego. Ale żeby ten proces przyspieszyć należałoby dążyć, aby każdy wykładowca nie ograniczył się wyłącznie do swojego uniw. lud. tylko żeby poznał jak najwięcej innych uniwers. lud. To samo dotyczy i kandydatów na wykładowców — niech taki kandydat przebędzie w kilku uniwersytetach np. po miesiącu i to da mu (na pewno) więcej, niż jakiś kurs. Rozmawiałem z początkującym wykładowcą, który przed przystąpieniem do pracy był na konferencjach pracowników TUL, przeczytał dużo o uniwersytetach, rozmawiał dużo z długoletnimi pracownikami i powstał z tego wszystkiego mętlik w głowie. Dopiero kiedy znalazł się w uniwersytecie przyjrzał się bezpośrednio pracy wykładowców z praktyką, stanął wobec trudności wykładania i zaczął je przełamywać, dopiero wtedy zaczęło mu się wszystko jasnym stawać, zaczął rozumieć o co idzie i zaczął się właściwie przysposabiać do tej pracy.

DYSKUSJA DOTYCHCZASOWA BYŁA

MAŁO RZECZOWA: BRAK OPISU

I oto nasz obowiązek: pisać.

Spróbowałem tutaj opisać jak wygląda jeden dzień w pewnym uniw. ludowym. W innym może wygląda inaczej — opisać, zwłaszcza pokazać i uzasadnić różnice. Słyszałem, że w jakimś uniw. lud. prowadzi się skrzynkę listów i zapytań — opisać, jak to wygląda. W niektórych uniwers. lud. są sklepy duńskie bez sklepowego — jak to idzie? Jakże są programy w poszczególnych uniwers. ludowych (cykle wykładów) i jak się je realizuje — możliwie szczegółowo, osobno o każdym przedmiocie, czy wykładowcy (może anonimowo, nie wymieniając wykładowcy, ani UL), idzie tu o obiektywną krytykę. Oprócz wykładowców stałych, są w uniwers. lud. wykładowcy dojeżdżający — jaki z nich pożytek, co szwankuje? Niektóre uniwers. lud. redagują gazetkę ścienną, inni — mówioną; niektóre dużo uwagi poświęcają współpracy i współżyciu chłopów ze światem robotniczym, współżyciu z miejscowymi ludźmi. A koedukacja w uniwersytetach ludowych, a samorząd słuchaczy, lokalne Towarzystwo Uniwersytetu Ludowego?

O tym wszystkim trzeba pisać. Nie zamknąć się, nie izolować się, tylko jak najszybciej opowiedzieć o swojej pracy innym: bo może jedni głowią się nad czymś, do czego inni dawno już doszli, może marnują czas i siły aby wyważyć drzwi otwarte. Ale pisać rzetelnie, tak, jak jest, nie ukrywając błędów i niepowodzeń.

Robić i pisać, pisać i robić — to przyspieszy doskonalenie się wykładowców, ułatwi wypracowanie najlepszej metody oraz odnalezienie właściwego typu uniwersytetu ludowego w Polsce.

FAKTY I ZDANIA

O TAK ZWANYCH AUDYCJACH DLA WSI

Szanowna Redakcjo!

Jako „prawdziwy” chłop (nie tylko z urodzenia ale z poczucia łączności kulturalnej) chciałbym tą drogą zwrócić uwagę na stałe tzw. audycje radiowe dla wsi.

Są audycje dla młodzieży szkolnej, dla żołnierzy, Polaków z zagranicy, dla dzieci, rozumieć potrzebę i konieczność takich audycji. Wszakże nie słyszałem jeszcze audycji „dla miasta”. Dlaczego więc biedna, daleka egzotyczna wieś jest tak honorowana, że w programie polskiego radia przeznaczają jej się co pewien czas skromny, kilkuminutowy kącik, nazwany szumnie „audycją”? Czy dlatego, że na wsi przeważnie nie ma aparatów radiowych? A kiedy wieś polska radiofonizuje się, (oby jak najprędzej), czy i wtedy słuchać będzie tylko specjalnych audycji dla niej poświęconych?

Co jest treścią owych wiejskich słuchowisk? Kogo one przede wszystkim mogą interesować? Składają się one przeważnie z dwóch części: jakiegoś mniej lub więcej udanego słuchowiska, którego tematem jest wycinek z życia wiejskiego, bohaterowie oczywiście chłopci mówiący gwarą, ogólna tendencja utworu wyraźnie propagandowa — satyryczna, w części drugiej na ośrodek odegrany z płyt jakiś taniec lub pieśń ludowa.

Oto krótką treść jednej z takich audycji. Bogaty i dobrze zaopatrzony w zboże i tłuszcz chłop nie rozumie konieczności wywiązania się ze świadczeń rzeczowych. Nie oddaje żadnego kontyngentu. Gdy zawiodły wszystkie sposoby komitet świadczeń wysłał do naszego bohatera delegata, który zawoził go do pobliskiego miasta. Tam nasz chłop widzi nędzę mieszkaniową robotniczego (dziecko, łaretki, sise suchą pierś matki, stara babka zbiera na obiad napół zgnie ziemniaki i robotnik — bohater pracujący prawie za darmo... dla Polski). Wzruszony i upokorzony chłop wraca czempredę do domu i nie tylko oddaje to, co mu naznaczono, ale cały nadmiar zboża i tłuszczu.

Wszystko było by dobrze, gdyby nie wysiępujące, zresztą wbrew woli autora i reżysera, w tego rodzaju audycjach niebezpieczeństwo pewnej symboliki, uogólnienia. Słuchający chłop mimo woli widzi w audycji krytykę postawy całej wsi a nie pewnych tylko jednostek. Sad ten wypływa właśnie z naiwnego potraktowania tematu i chłopca w ogóle. Powiedzenia chłopca, jego sposób myślenia są tak naiwne, że budzą tylko niesmak. Nie zawsze trafna interpretacja głosowa aktorów (wymagająca dużo uwagi właśnie przy gwarze) pogłębia owo niezrozumienie między autorem a słuchaczem.

W tej chwili stanowią te wiejskie audycje rozrywkę tylko dla miast. Wieś z powodu braku radiodiodowników z nich nie korzysta. I nie występuje tu przeciwko samemu słuchowiskom rozrywkowo — dydaktycznym, przedstawiającym te czy inne sceny z życia wiejskiego lub miejskiego. Występuje natomiast przeciw wydziałowi w programie radiowym specjalnego kącika „dla wsi”. To upakarka. Sądzę, że wieś polska dojrzała na tyle, aby z programu radiowego mogła dla siebie wybierać to, co ją interesuje. Jest rzeczą dydaktyczną wpieść w ten program i pogadankę naukową i rolniczą, i słuchowisko pouczające, i koncert, i poezję. Wieś nie potrzebuje kącików — wsi niech służy radio dzień i noc.

Mieczysław Pawłeki
powiat Pińczów

Liść ob. Stanisława Pawlickiego przedrukowaliśmy w całości, sądząc, że stanie się on, zwłaszcza wśród działaczy terenowych i kierowników świetlic, bodźcem do nowych wypowiedzi na poruszone tematy.

Zgadamy się z autorem dzisiejszego listu, kiedy mówi o skasowaniu „Kącika dla wsi”. Sądźmy jednak, że dotychczasowy program uwzględnił w dużej mierze potrzeby kulturalne wsi. Jest rzeczą organizacji kulturalnych wiejskich, aby pod adresem Polskiego Radia nadsyłały projekty i propozycje programowe. Przykładem takiej inicjatywy niech będzie Oddział Wiejski ZZLP i redakcja „Wieś” — które co dwa tygodnie mają zarezerwowane dla siebie miejsce na audycje „twórczości literackiej chłopskiej”.

TRZECIA AUDYCJA „TWÓRCZOŚCI CHŁOPSKIEJ”

W dniu 16.1. br. o godz. 19.15 została nadana przez radiostację łódzką w programie ogólnopolskim trzecia szkolna audycja z cyklu „twórczość chłopska”, poświęcona Pawłowi Kubiszowi. Po odczytaniu wprowadzającego fragmentu z wiersza „Był we Frydku, był grogi” — Stefan Lichajski omówił twórczość Pawła Kubisza. Następnie Zygmunt Stolarski recytował wiersze: „Co to młody gorol prawil, jak mu sie na śmierć niesło”, „Rebelija Goroli w Mostach” (fragment) i „W Gutach jest muzyka”.

Następna audycja z tego cyklu zostanie nadana w środę, dnia 30. 1. br. w programie ogólnopolskim o godz. 22.30 i poświęcona będzie

twórczości Jana B. Ożoga (w związku z ukazaniem się tomiku wierszy p. t. „Kraj” tego poety).

ROCZNICA

Dnia 23 stycznia mija smutna rocznica napadu Czechów w 1919 roku na Zaolzie.

Przy tej okazji chcieliśmy stwierdzić jedynie, że nie hasła, a czyny stanowią o prawdziwej demokracji. Jeśli Rząd Polski i i całe społeczeństwo uznało prawo republik: litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej do Ziemi Wschodnich wchodzących w skład przedwojennej Rzeczypospolitej — i dlatego uznało — bo ziemie te od wieków były i są zamieszkałe przez ludność nie polską, jeżeli Polacy pogodzili się z tym stanem rzeczy, mimo iż wraz z ziemiami tymi odpadły od Polski tereny bogate w naftę, — to taką postawę nazwać można demokratyczną.

Polska nie utraciła nic dzięki takiemu stanowisku, — przeciwnie, zyskała coś więcej niż naftę — zyskała prawdziwą szczerą przyjaźń i wdzięczność bratnich narodów słowiańskich.

Jesteśmy sprawiedliwi dla siebie — ale chcemy, żeby ta sprawiedliwość objęła wszystkich. Pragniemy, by naród czeski zajął w sprawie polskiego Zaolzia taką demokratyczną postawę, na jaką zdobył się nasz naród w stosunku do bratnich narodów — ukraińskiego i białoruskiego.

Wtedy nic nie stanie już na przeszkodzie prawdziwie szczeremu naszemu do Czechów stosunkowi.

CO SIĘ DZIEJE Z PRZEMYSŁEM LUDOWYM?

Siedziba zakopiańskiego przemysłu domowego są wieś leżące koło Zakopanego. Samo Zakopane jest rynkiem zbytu lub miejscem „odstawy”. Poza tym znajduje się w Zakopanem szkoła kilimniarska i koronkarska dla dziewcząt oraz szkoła i warsztaty szkolne dla rzeźbiarzy, stolarzy, cieśli, kowali a nawet zegarmistrzów.

Wsi leżące bezpośrednio u stóp Tatr jak Bukowina, Kuźnica, Jaszczurówka albo w pobliżu Zakopanego przy wygodnej szosie korzystają ze wzorów miejskich. Inaczej jest we wsiach położonych za Gubałówką, oddzielonych od głównej szosy. Wsie te są bardzo ciekawe, gdyż w nich zdobnicza sztuka ludowa pozostała wierna dawnym tradycjom.

Wieś Kościelisko, Olcza, Poronin oraz Bukowina są największymi ośrodkami chałupnictwa. Dziewczęta z tych wsi najczęściej odwiedzają szkoły koronkarskie. Jak wiadomo, szkoła wyrobu koronek i haftów w Zakopanem została założona w roku 1882 przez artystkę sceniczną Helenę Modrzejewską.

— Klockowe koronki — kto by ich nie znał. Są i tacy, którzy pamiętają jeszcze te dawniejsze, przepiękne i delikatne koronki z alabastro — białych lub jasno szarych nici lnianych. Koronki, jakimi zdobiła kiedyś swoje suknie znakomita artystka sceniczna Helena Modrzejewska, założycielka szkoły koronkarskiej. Te koronki, chusteczki oraz serwetki, jak również ciupagi, wykonywane przez uczniów szkoły przemysłu drzewnego, były pamiątkami, które chętnie kupowali letnicy i kuracjusze podczas pobytu w Zakopanem w czasach Tytusa Chałubińskiego, Heleny Modrzejewskiej, dyrektora Neuzyla i pierwszego proboszcza ks. J. Stolarczyka. Te koronki współzawodniczyły nawet z koronkami bruckelskimi; otrzymała szkoła zakopiańska za klockowa serwetkę pierwszą nagrodę na wystawie w Paryżu.

— Indie — Bombaj — maharadża — to dla dziewczynek „koronkarek” nazwy i pojęcia tak oddalone — a jednak wykonywały „koronkarki” robotki na zamówienie z tej egzotycznej krainy. — Zakopiańska szkoła koronkarska otrzymała za pośrednictwem Komitetu Propagandy w roku 1938 zamówienie na serwetki stołowe dla żony maharadży. Wykonane zamówienie zostało 16 maja 1938 r. odesłane do Bombaju. Było to stołowe nakrycie na 48 osób, wykonane z podhalańskich samodziałów, płótna, z koronkami koloru szarego i w dwu kolorach niebieskich.

Podczas niemieckiej okupacji musiała szkoła swoje wyroby oddawać władzom niemieckim, to znaczy, że zabierali je łapczywi „dygnitarze” i wywozili. „Koronkarki” były nawet od przymusowych robót zwolnione, by mogły jak najwięcej robotek wykonać.

Po ukończeniu kursów koronkarstwa, haftu lub robót kilimniarskich niektóre dziewczęta pracują w szkolnym warsztacie za wynagrodzeniem, reszta pozostała nadal w kontak-

ROZSZUMIAŁY SIĘ WIERZBY

Pod takim tytułem wyszła z druku nakładem Wydziału Oświaty Rolniczej Wojew. Urzędu Ziemskiego w Łodzi (ul. Traugutta 14) sztuka sceniczna w 4 odsłonach Adama Szczerbowski, przeznaczona dla wiejskich zespołów teatralnych.

W sztuce występują chłopci, młodzież wiejska, partyzanci.

Zamawiać i nabywać można pod podanym wyżej adresem w cenie 25 zł. (z przesyłką 30 zł.) za egzemplarz.

Pieniądze wpłacać na konto PKO Łódź Nr 801 lub przekazać pocztowym.

— KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętaś Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasiak Andrzej, Nęcza-Kubiniak Stanisław, Kubisz Paweł.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Żwirki 2.

Nr 1 „WSI” ZAWIERA:

Jan Aleksander Król: „Oda do młodości”; Jan Bolesław Ozóg: Robotnicy. Stanisław Nęcza-Kubiniak: Janosik. Stanisław Piętaś: O Nędzy-Kubińcu słów parę. Kazimierz Budzyk: Lekkość dyskusja na poważny temat. Julia Hartwig: Na wsi. Artur Sandauer: O literaturze gwarowej. Leon Sobociński: Janko, — rzykant. Lesław M. Bartelski: Elegja. Anna Kamińska: Proza poetycka. Wojciech Natanson: „Lidowa suita”. Ryszard Matuszewski: Poezja wiejskiego krajobrazu i sielanki (o wierszach Józefa Stachowskiego). Józef Stachowski: Niedziela, Wieś Marysi, Modlitwa, Teodor Goździkiewicz: Przemiany. A. Junosza-Gzowski: List do Redakcji. Józef Pogan: Niebieski dekret. Jan Wiktor: Zagadnienie literatury chłopskiej. Lech Budrecki: Kłopotliwe pytanie. Stanisław Piętaś: Pomyłki Juliana Przybosi. Dyskusja: Kto jest „Chłopem”? Zygmunt Kałużyński: „Biedny i bogaty” Józefa Pogana. Nowe drogi. Czesław Garda: Płaskorzeźba Pani Wirskiej. Jarosław Janowski: Zdławionym szeptem. „Wieś” zagranica i w kraju. O sztuce stawiania na głowie.

NUMER 2 „WSI” ZAWIERA:

Jan Aleksander Król: „One wiele dobrego zdziały”. Antoni Stopa: Rok 1896. Kachnia Lecznianka. Lesłowska: Z cyklu „Kamienne wiersze”. Jarosław Janowski: „Masława”. Zawieskiego — między legendą a rzeczywistością. „Piotr Wyrobek”. Antoni Stopa, Stanisław Jucha i Zdzisław Jerzy Kempf: Dyskusja o gwarze. Stanisław Piętaś: Sandomierskie w kwietniu 1945 r. Zygmunt Sierp: Półmrok wy. Józef Andrzej Frasiak: Poeta demokracji. Teodor Goździkiewicz: Ziele w ogrodzie. Maciej Czula: Pisarze ludowi byli dziennikarzami. Ker: Za sąsiedzką miedzą. Z ludowej poezji bułgarskiej — wiersze Iwana Wazowa i Lema-ra w przekładzie Zdzisława Jerzego Kempfa. Zygmunt Kałużyński: Filkijna rozmowa o Nędzy-Kubińcu. Mieczysław Czebor-Cholewa: Jak Józef Wołoszyk ugwarzował z Panie J. zuse. Edward Marzec: Sirony świata. Ludwik Brożek: Z pogranicza. Władysław Leszczyński: „Z ziemią związany”. Stanisław Ehrlich: Kok-Sagiz. Jan Krokwa: List do Redakcji.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH: TEATR OBJAZDOWY LEONA SCHILLERA

Reportaż J. Wyszomirskiego, współpracownika i uczestnika „Teatru Ludowego im. Bogusławskiego”, sceny objazdowej zorganizowanej przez L. Schillera. Teatr ten dał w środowiskach polskich na terenie okupacji anglo-amerkańskiej szereg przedstawień, poświęconych samorodnej twórczości chłopskiej.

SPROSTOWANIE

W ostatnim (2-gim) N-rze „Wsi” opuszczono pomyłkowo nazwisko autora sprawozdania z „Masławy”, Jarosława Janowskiego.

WYDAWNICTWA KSIĄŻKOWE „CZYTELNIKA”

LITERATURA PIĘKNA: złotych
Andrzejewski J. — Noc 140.—
Boy-Zeleni T. — Znaszli ten kraj 160.—
Gojawczyńska P. — Kłata 85.—
Kraszewski I. J. — Stara Baśń.
Lektura szkolna 80.—
Mikosz C. — Ocalenie 170.—
Nowicki A. — Podróż do Świętej
Złoty 25.—
Przybóś J. — Miejsce na ziemi. . . 95.—
Sienkiewicz H. — Krzyżacy, 2 t.
Lektura szkolna 120.—
Szmajewska S. — Dymy nad Birkenau 140.—
Tuwim J. — Lusia Puszkina . . . 180.—
BIBLIOTEKA SPOŁECZNO.
POLITYCZNA:
Ehrlich S. — Strategia zwycięstwa 12.—
Grosz W. — Na drogach powrotu 15.—
Horak A. — Wojna polsko-niemiecka 1939 12.—
Litauer S. — Zmierzch „Londynu” 15.—
Oranowski Z. — W oczach Londynu. Materiały do dziejów powstania warszawskiego I 10.—
BIBLIOTEKA TYGODNIKA „WIEŚ”
Chłopska reforma rolna 12.—
BIBLIOTEKA BŁĘKITNA:
Małcużyński K. — Od atomu do bomby 5.—

PRENUMERATA „WSI”

w Łodzi i na prowincji zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Dział prenumerat „Czytelnika” ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

Na prowincji:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika”, z zaznaczeniem: na „Wieś”.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96.

D-06544